

Prenumerata w Warszawie:

Rocznie Rs. 7 kop. —
Półrocznie „ 3 „ 50
Kwartalnie „ 1 „ 75
Miesięcznie „ — „ 60

Za odnośnienie do domu
płaci się kop. 5 mies.

Za zmianę adresu dopłaca
się kop. 20.

Cena pojedynczego nu-
meru bez dodatku k. 20.

Prenumerata na Prowincyi
i w Cesarstwie:

Rocznie Rs. 9 kop. —
Półrocznie „ 4 „ 50
Kwartalnie „ 2 „ 25

Za Granicą:

Rocznie . . . 12 guld. — 18 m.
Półrocznie . 6 „ 9 „

Ogłoszenia przyjmuje kan-
tor Redakcyi po kop. 10 za
wiersz petitowy lub za je-
go miejsce. Reklamy po
kop. 25.

GŁOS

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNO-POLITYCZNY.

Wychodzi co Sobota.

REDAKCYJA i ADMINISTRACYJA
WARECKA Nr. 9.

Co kwartał dodaje się bezpłatnie jeden
zeszyt dzieł Spencera.

TREŚĆ: I. Błędne wnioski, przez J. L. Popławskiego. — II. Cywilizacja i wyludnienie, przez Jana Lorentowicza. — III. Czem jest Izrael?, przez W. Ziemińskiego. — IV. Z niwy literackiej swojej i obcej, przez T. T. Jeża. — V. Głosy. — VI. Z kraju, przez J. Nieborskiego. — VII. Listy ze wsi, przez W. Głuchowskiego. — VIII. Przegląd społeczny. — IX. Przegląd polityczny. — X. Kronika powszechna. — XI. Odpowiedzi od redakcyi. — XII. Ogłoszenia. — XIII. Odcinek Wysadzony z siodła, przez A. Sygietyńskiego. (Ciąg dalszy).

Od redakcyi.

Przypominamy szanownym prenu-
meratorom, że czas już odnowić pre-
numeratę na kwartał czwarty.

Wyszła z druku i jest do nabycia
w redakcyi Głosu i w księgarniach

POWIEŚĆ

EDWARDA BELLAMY'EGO
W ROKU 2000

Jest to jedyny przekład polski te-
go dzieła, dokonany z oryginału
bez skróceń i przeróbek.

Cena 75 kop.

Ekspedycję egzemplarzy dla prenumerato-
rów już rozpoczęliśmy, z powodu jednak wiel-
kiej ilości, ukończymy ją wszakże dopiero w przy-
szłym tygodniu.

Błędne wnioski.

I.

Z powodu wieści o emigracyi do Brazylii,
wieści, jak się zdaje, wydętych przez repor-
terów i korespondentów, widzimy w prasie
zwrot ku starym, od pewnego czasu zarzucy-
nym poglądom na sprawę wychodźstwa ludu
naszego. Bezwątpienia „gorączka brazylij-
ska”, chociaż nie jest zbyt groźną, stanowi
objaw niepożądany. Agenci, działający w
imieniu jakiegoś spekulanta, namawiają ludzi
do wędrowki i często obdzierają nieświadomych
z ostatniego grosza. Ale władze poli-
cyjne dosyć energicznie powstrzymują ten
ruch i dziś już główni agitatorowie znajdują
się pod kluczem. Emigracja do Brazylii w
żadnym razie nie jest korzystną: ani bowiem
przyrodzone, ani społeczno-ekonomiczne wła-
ściwości tego kraju nie sprzyjają naszym osa-
dnikom, a jakkolwiek są tam dosyć liczne ko-

lonije polskie, nie mają one przyszłości, gdyż
znajdują się w sąsiedztwie gęstych kolonij
niemieckich.

Ludność rolnicza u nas może jeszcze zna-
leźć ziemię i zarobek w kraju, przenosząc się
częściowo z miejscowości bardziej zaludnionych
a mniej żyznych do mniej zaludnionych,
jak np. z kaliskiego w lubelskie, lub wreszcie
do gubernij ościennych. Rzemieślnicy i ro-
botnicy dziś już dosyć często przenoszą się
do gubernij zachodnich i południowych lub
do dalszych okolic Cesarstwa, nawet na Ka-
ukaz. Słowem emigracyi najłatwiej u nas
przeciwdziałać za pomocą kolonizacyi we-
wnętrznej, należy tylko tę ostatnią właściwie
zorganizować i ułatwić. Byłby to najlepszy
sposób powstrzymania wychodźstwa.

Ale w danym razie nie chodzi nam o emi-
gracyję z Królestwa, tylko o te ogólne po-
glądy na sprawę wychodźstwa, jakie ostatni-
mi czasy wygłaszano w pismach. W prasie
naszej od lat kilku odzywały się poważniej-
sze głosy o emigracyi, wykazujące, że w sto-
sunkach galicyjskich i poznańskich jest ona
objawem koniecznym, że namowy agentów
dla tego działają tam skutecznie, iż znajdują
grunt przygotowany. Przed dziesięciu a tym-
bardziej dwudziestu laty, kiedy u nas nie
było słycać o emigracyi, do Ameryki zaś
uciekali chyba tylko żydzi przed poborem lub
oszuści i złodzieje przed wyrokiem sądowym
— z Galicyi i prowincyj pruskich już dziesiątki
tysięcy ludzi rocznie wychodziły za morze.
Obecnie z wschodnich prowincyj Prus emi-
gruje do Ameryki z górą 30,000 ludzi; do
Niemiec, gdzie, np. w Westfalii i Saksonii
powstały znaczne kolonije polskie — 70,000.
Z Galicyi emigracja roczna przenosi 20,000
głów, a oprócz tego mnóstwo ludzi wycho-
dzi na zarobki do Rumunii, Węgier oraz do
Królestwa i południowo-zachodnich gubernij
Rosyi.

Pod wpływem wyżej wspomnianych gło-
sów, traktujących emigracyję, jako poważny
objaw społeczny, pod wpływem wymownych
dowodzeń Szczepanowskiego, który twierdził,
że wychodźstwo zbawia przynajmniej część
ludności galicyjskiej od śmierci głodowej,
wreszcie gruntownej rozprawy d-ra S. Kłob-
ukowskiego „o emigracyi polskiej” — zaczęto

powoli przychodzić do przekonania, że w Ga-
licyi i prowincjach pruskich, emigracja jest
konieczną, że bynajmniej nie jest a raczej
może nie być ekonomicznie i narodowo szko-
dliwą, że zamiast daremnego przeciwdziałania,
należy raczej myśleć o świadomem jej orga-
nizowaniu i kierowaniu. Zdania takie coraz
częściej można było słyszeć w prasie. Ale
„gorączka brazylijska” widocznie zbyt silnie
podziała na wyobraźnię publicystów, pozornie
tylko nawróconych, i pod wrażeniem jednego
faktu stare poglądy na emigracyję z tryum-
fem wróciły na łamy dzienników.

Znany z wszechstronności swych przeko-
nań i poglądów, *Kraj* petersburski zamieścił
dosyć obszerny artykuł o emigracyi, w któ-
rym zaleca powrót do dawnego zdania o bez-
względnej szkodliwości wychodźstwa. Ponie-
waż artykuł ten streszcza wcale dobrze okle-
pane poglądy na emigracyję, a zarazem sta-
ra się zbić wywody p. Szczepanowskiego, do-
tyczące przeważnie stosunków galicyjskich i
poznańskich — zatrzymamy się nad nim dłu-
żej...

Słusznie zaznaczywszy, że emigracja ma
nietylko ekonomiczne przyczyny, autor posu-
wa się następnie zbyt daleko i jakby lekce-
waży te ostatnie. Z zadowoleniem przytacza
on pojedynczy fakt, świadczący, że do wy-
chodźstwa nie nędza ludzi skłania, bo emigru-
ją względnie zamożni. Jest to oddawna wia-
domem, można powiedzieć nawet, że ludzie,
przyciśnięci nędzą, nie emigrują nigdy, bo nie
mają za co, chyba że, jak w Irlandyi, otrzy-
mują przejazd bezpłatny i zapomogę.

Nie znaczy to jednak, że pobudki ekono-
miczne nie wpływają na powstanie i wzrost
wychodźstwa. Zwykle porzucają kraj ci, któ-
rzy mają jeszcze środki do życia, ale te im
nie wystarczają, albo którzy czują, że byt
ich jest wskutek zbiegu niepomyślnych wa-
runków zachwianym.

Rozumie się, niepodobna dokładnie uregu-
lować emigracyi, czasem więc może ona spo-
wodować brak rąk do pracy w pewnej oko-
licy. „Sam p. Kłobukowski powiada”, zazna-
cza autor, „że w regencyi bydgoskiej i kwi-
dzyńskiej brak robotnika jest wielką klęską.
A z tych właśnie regencyj emigruje najwię-
cej ludzi”. Prawda, ale p. Kłobukowski po-

wiada też w innym miejscu, że taki brak rąk jest objawem przejściowym, bowiem w razie potrzeby stałej napłylnie ludność z okolic ościenych. Brak rąk istnieje z tego powodu, że rząd pruski wydał tysiące robotników, podanych rosyjskich, którzy stopniowo zastępowali emigrantów. Powtóre, na emigrację z Prus wpływają często względy narodowo-polityczne i społeczne, wbrew nawet względom ekonomicznym. Po trzecie, brak rąk do pracy jest sprawą dosyć wątpliwą i przedstawia się raczej, jako brak *taniego* robotnika. Emigracja za morze, stanowi ledwie 1/3 wychodźstwa z prowincyj pruskich; robotnik z eregencji bydgoskiej i kwidzińskiej, który tysiącami wędruje do Niemiec, z chęcią zostałby na miejscu, gdyby dostał taką płacę, jak w Westfalii lub Saksonii. Rzecz jasna, że dla przedsiębiorców jest to nieprzyjemnem, ale dla masy ludności, dla interesów ogółu — podniesienie ceny pracy jest pożądanem.

Zresztą skargi na brak robotnika słychać tylko w lecie, w porze żniw; wtedy, istotnie, nigdzie niema za dużo rąk, ale to już inna sprawa...

Fakty takie, jak ten, że w powiecie sztumskim, ludność w ciągu lat czterech zmniejszyła się absolutnie o 2,700 głów — niczego nie dowodzą.

Kto wie, jakie przyczyny ubytek ten spowodowały i czy w ostatnim pięcioleciu przyrost nie pokrył już tej straty. „Jeden fakt wystarcza do zbitcia ogólnej teorii” — przypuścimy że tak, ale jeden fakt nie znosi szeregu innych faktów, wręcz przeciwnych. W powiecie sztumskim zmniejszyła się ludność; ale w innych powiatach — jak to niejednokrotnie wykazywali autorowie polscy i niemieccy, a p. Kłobukowski stwierdził całemi kolumnami cyfr, wziętych ze statystyki urzędowej — ludność polska wzrasta dosyć szybko, stosunkowo szybciej, aniżeli niemiecka, tak, że pomimo emigracji procent polaków był w r. 1885

większy, aniżeli w 1869. Dla nas tylko zmiana *in minus* tego stosunku byłaby niepożądaną, większa zaś czy mniejsza gęstość zaludnienia jest rzeczą obojętną.

Autor z *Kraju* twierdzi, że na miejscach, opuszczonych przez mazurów, znajduje fortunę szwab. Ponieważ ani w Prusach, ani w Galicyi niczego podobnego nie ma, wybiera więc autor gubernię płocką, twierdząc, że tam jednocześnie z emigracją chłopów polskich odbywa się imigracja przybyszów niemieckich. Jakkolwiek mamy na oku tylko stosunki galicyjskie i poznańskie, rozpatrzmy jednak ten przykład. Danym statystycznym nasz publicysta nie dowierza, ma on, jak powiada, pod ręką cyfry i dowody ze źródeł innych, ale nie dzieli się wiadomościami temi z czytelnikiem. Niechże je trzyma w ukryciu, bo są one fałszywe. Szczegółowe zbadanie warunków emigracji, podjęte w gubernii płockiej z inicjatywy miejscowej władzy, wykazało, że wychodźstwo rozwinęło się dopiero w latach ostatnich, kiedy właśnie napływ Niemców ustał prawie zupełnie. Osiedlanie się Niemców u nas i wogóle w Rosyi, sprzyjało wiele szczególnych warunków: na pierwszym miejscu stał tu niski kurs naszej waluty, który stosunkowo bardzo tanio pozwalał im nabywać ziemię. Dziś względ ten zmienił się zupełnie, a niedawno wydane przepisy, prawie całkowicie tamują napływ niemiecki. Zresztą już poprzednio wielu nie mogło ostać się wobec warunków miejscowych; setki rodzin wynosiły się z powrotem, lub wędrowały dalej do gubernij zachodnich, a nawet w głąb Cesarstwa. Sprawozdanie urzędowe, zdaniem naszym, trafnie określa przyczyny częściowej emigracji ludności z gubernii płockiej, stawiając na pierwszym miejscu brak zarobków z powodu słabego rozwoju przemysłu w tych okolicach i niepomyślnych warunków produkcji rolnej. Dalej, zapominać nie należy, że w gubernii płockiej włóścianie

posiadają stosunkowo mniej ziemi, aniżeli gdzieindziej. Wreszcie w ostatnich latach powróciło tu z Prus kilkanaście tysięcy ludzi, których władze tamtejsze wyrzuciły, co spowodowało, przynajmniej na czas pewien, nadmiar rąk do pracy, jednocześnie zaś zmniejszyła się dosyć znacznie emigracja chłopów płockich do gubernij zachodnich. Fakty te, stwierdzone w drodze urzędowej, tłumaczą dostatecznie wzrost wychodźstwa, dotychczas zresztą nie przyjmującego szerszych rozmiarów — nie potrzeba więc wcale szukać innych, mniej jeszcze pewnych, cyfr i dowodów.

Osiedlanie się u nas Niemców stwierdza właśnie ten pogląd, przeciw któremu autor występuje tak stanowczo, że ludność z krajów, wyżej posuniętych w kulturze i gęściej zaludnionych napływa do okolic mniej zaludnionych. Ale kiedy zaludnienie u nas wzrosło, kultura zaś — w najobszerniejszym znaczeniu tego wyrazu — podniosła się wyżej, obawa imigracji przybyszów obcych ustaje. Natomiast w Galicyi i prowincjach pruskich emigracja nadmiaru — względnie do warunków miejscowych — ludności staje się konieczną, ponieważ dla kolonizacji wewnętrznej nie ma tam prawie miejsca.

Można się zgodzić na to, że „prąd amerykański kieruje ruch ludności i możliwy jej nadmiar w strony wcale niepożądane”, nie należy jednak zapominać, że emigracja poznańców i szlązaków do Niemiec, lub galicyjan do Węgier i Rumunii — jest bardziej jeszcze niepożądaną. O tem jednak pomówimy później, teraz zaś przejdziemy do poglądów na emigrację galicyjską, głoszonych przez pp. Szczepanowskiego i Kłobukowskiego, a zaatakowanych w *Kraju*.

J. L. Popławski.

20)

WYSADZONY Z SIODŁA.

Powieść.

PRZEZ

Antoniego Sygietyńskiego.

(Dalszy ciąg).

— Pan *prezes* na mnie nie łaskaw — mówiła z przekąsem, ze złośliwym naciskiem.
— Ależ, moja duszko, obowiązki...
— Obowiązki, obowiązki, a na kolacyjki z tą fizdrygalską czas mamy!...
— Cóż chcesz?... Nie mogłem się wymówić Cieżyńskiemu!... Kulirowski mnie zobowiązał słowem honoru...
— I będę ją protegował...
— Ależ to odemnie niezależne.
— Znamy się na tem. Przypominam jednak, że pan *prezes* przez cały tydzień nie raczył ani razu...
— Jak cię kocham, nie miałem czasu. Jeżeli chcesz, to jutro...
— Jutro Mieczysław nie wychodzi z domu, pisze...
— To przyjdź do kancelaryi między piątą a szóstą; pójdziemy na miasto.
— Dobrze; ale pamiętaj!...
— Gdzie *prezes*? *Prezesie!* *prezesie!* — wołał Hebalski.

— Jestem. Co łaskawy pan rozkaże?
— *Maleńka* prośba...
— Słucham...
— Jutro *Nitouche* na żądanie...
— Niepodobna; porządek widowisk ułożony na cały tydzień.
— Ale kiedy można...
— *Prezesie!*
— *Prezesuńku!*
— *Mój Prezesie!*
— Tylko ten jeden raz.
— Dla mnie.
— Dobrze... zobaczę...
— Ale koniecznie.
— Dla mnie!
— Ha! Dla państwa postaram się to zrobić.
— Słowo?
— Słowo.
— W górę *prezesa!*
— O co to, to nie!... Zaraz dostaję zawrotu głowy!... Dziękuję państwu, że mnie tak ubawiło i żegnam.
— Jeszcze chwilkę.
— Nie mogę, nie mogę. I tak już późno na mnie... Obowiązkil!... Naprawdę obowiązkil!... Żegnam państwa, niech się państwo jeszcze bawi bezemnie trochę. Żegnam!
— Do widzenia!
— Do widzenia!
I tak zwany *prezes* pocałował w rękę wszystkie trzy damy po kolei, z odpowiednim komplementem, a potem zaczął podawać mężczy-

znom rękę bokiem, niedbale, bezwładnie, prawie lekceważąco, jak zwykle. Kiedy wyszedł Kulirowski odezwał się głośno:

— Cóż ten dureń sobie myśli, żeby rękę podawać bokiem!

— Daruj mu pan — odpowiedział Hebalski — ale to już takie jego przyzwyczajenie od młodości, od czasu, kiedy jako starszy bileter brał łapówki za wpuszczanie publiczności do krzesel. Rozumiesz pan, że po zakazane dwuzłotówki nie podaje się ręki wprost, ale bokiem.

— Co za złośliwiec z pana!... Nie będę pana kochała!...

— „*Nitouche!*” przebaczył!... Zresztą daję ci słowo, że nigdy tego nie powiem... przy nim!

— Nie ma jak nasz kochany pół-redaktor! Panowie i panie — wołał Kulirowski — wnoszę toast na cześć dowcipu i sprytu dziennikarskiego!... Za zdrowie Hebalskiego!

— *Vivat!*

— Niech żyje!

I całe towarzystwo rzuciło się do kieliszków. Nowe ugrupowanie, nowe rozmowy. Hebalski błaznował z *Ciotką* przy pianinie, przedrzeźniając głos i ruchy jednego z aktorów charakterystycznych, Kulirowski robił kulki z chleba przy stole, Gurbalecki opowiadał pani Żądłowskiej, siedzącej sztywno na fotelu, o Paryżu, a Cieżyński lawirował pomiędzy wszystkimi. Maryja, napół pijana, leżała wciąż w tej samej pozycji, na otomanie,

Cywilizacja i wyludnienie.

II.

Bierny i uległy charakter celty, przesiąknięty tradycją i niezdolny do opierania się rutynie, wywołał szczególną organizację polityczną Francji: jest ona demokracją, nie tylko urobioną przez monarchizm ale wprost monarchiczną. Rzecz naturalna, iż sprzecznosc taką tylko jedyna Francja stanowi na całym świecie. Francuz zachował w całej rozciągłości i sile dawne instytucje monarchiczne. Ztąd nieustanna walka pomiędzy starym i nowym porządkiem, walka odbywająca się w każdym z osobna i sprowadzająca trzy wielkie niekonsekwencje francuzkie: demokrację, zcentralizowaną w dziedzinie politycznej katolicką — w dziedzinie spekulacyjnej i—idealistyczną w estetyce.

Rozmaite są funkcje społeczne w państwie a najwznioslejsze z nich tym mniejszym cieszą się szacunkiem, im bardziej ludzie są nieokrzesani. Ale w każdej formie politycznej, na każdym stopniu kultury i w każdej epoce rozmaite warunki społecznego bytu układają się według hierarchicznego porządku. Utworzona tą drogą nierówność pobudza jednostkę do wzniesienia się od niższej funkcji społecznej do wyższej. Kierowany instynktem każdy atom społeczny wysiła się, aby dojść do ideału, który go przywiązuje i pociąga, podobnie jak oliwa wznosi się w knocie do płomienia lampy. Im więcej płomień pali się i ośniewa, tym bardziej czynna i pożerająca jest ta *włoskowatość społeczna*. Wymaga ona bezwarunkowego posłuszeństwa, co się uwidoczni nieustannie w niemożności porzucenia raz obranej drogi. Wiele dusz wzniosłych, wielu filozofów i poetów umiera z głodu, choćby mogli zabrać się do produkcyjnej pracy. „Nie widzimy nigdy—zauważył Sismondi (Principes d'Economie politique, II. 164)—aby właściciel wielkiej własności ziemskiej przygotowywał swych synów na drobnych farmerów, aby wielki przedsiębiorca przeznaczał swego syna na drobnego handlarza. Niezmiernie trudno spotkać rodzinę, któraby dobrowolnie rzuciła zajmowaną pozycję społeczną i zesłała do niższej.”

Ta olbrzymia ewolucja przenika zresztą wszystkie formy bytu, począwszy od minerału a skończywszy na człowieku i chroni nas od pesymizmu i filozofii rozpacz.

Zastosowując działanie włoskowatości społecz-

nej do rozrodczości, zauważymy, że kiedy się dąży do dołu do góry, należy, aby dojść do celu nie obkładać się zbytnio ciężarami. Gdy więc małżonkowie mogą przez stosunki lub szczęście osiągnąć swe ambitne żądania, dzieci, szczególnie liczne, utrudnią to niezawodnie. Są to nowe osobistości, którym trzeba poświęcić osobistość własną a im więcej włoskowatość społeczna jest czynną, tym mniej jest zdolną do tego poświęcenia.

Czy ten objaw da się ująć w formę prawa? Widzimy, że im więcej na świecie radości, bogactw, wyrafinowania estetycznego i nagromadzenia wiedzy, tym większy jest przedział pomiędzy posiadającymi to wszystko a pozbawionymi tego. Im bardziej jednostka oddalona jest od ideału, do którego dąży, tym silniej stara się dojść do niego i poświęca mu swoje siły, spokój a nawet przyszłe potomstwo, jeżeli przez to zbliży się do celu. Wielka więc nierówność warunków, połączona z możliwością wzniesienia się do wyższych szczebli z niższych, jest rzeczywistą przyczyną osłabienia rasy i zmniejszania się ludności.

Rozwój liczebny w narodzie idzie w odwrotnym stosunku do *wysiłku* w rozwoju indywidualnym. Wysiłek ten może być mniej lub więcej absorbującym i silnym, w stosunku więc do niego, nie zaś do samego rozwoju indywidualnego zmniejsza się przyrost ludności. Powolne wygasanie indyjan północnej Ameryki pochodzi ztąd, iż dzieci ci znieść nie mogli cywilizacji amerykańskiej a zarówno bezsilni byli do zrównania się z nią, jak też i do zatamowania jej. Rozrodczość ich tak się zmniejszyła, że z 600,000 pozostało ich po latach dwudziestu pięciu zaledwie 300,000. Tym samym przyczynom przypisać trzeba gwałtowne wymieranie maorysów i zupełne wygaśnięcie rasy tasmańskiej. Oddzielone od cywilizacji Chin przez silne ukonstytuowanie rodziny zatamowały u siebie naturalny postęp jednostki a przez to ludność w niebieskim państwie wzrasta bardzo silnie.

W monarchii konstytucyjnej włoskowatość społeczna znajduje doskonałą tamę w instytucjach arystokratycznych. Demokracja zaś, z zasadą równości, może mieć zawsze bardzo ograniczony przyrost ludności. Nie wynika ztąd, aby republika demokratyczna pociągała za sobą niezbędnie oligantropiję. Republiki takie, jak wenecka, szwajcarska i Stanów Zjednoczonych, pierwsza w kon-

stytucji arystokratycznej, drugie w federalizmie znalazły środek do powstrzymania zmniejszania się ludności.

Człowiek zbiorowy lub pojedynczy może dążyć do osiągnięcia dwóch celów, całkowicie różnych: raz szuka tego, co by powiększyło jego rozkosze, to znów tego, co by podniosło jego wartość osobistą. Pierwsze niszczy rasę i upadła ją; drugie—jako właściwa demokracja, mało sprzyja rozwojowi ludności, niemniej przeto uszlachetnia człowieka. Jakikolwiek wszakże byłby cel, czynna atrakcja włoskowata jest warunkiem *sine qua non* rozwoju. Cała rzecz polega w odpowiedzialności celu: jeżeli ten będzie złym, wówczas postęp zamieni się w upadek i wciągnie w ruinę naród. Nowe więc *prawo ludnościowe* da się sformułować w dwóch punktach: 1) postęp rozrodczości jest w odwrotnym stosunku do włoskowatości społecznej; 2) postęp indywidualny jest w stosunku prostym do tejże włoskowatości. Ztąd zaś konsekwencja, że rozwój rasy pod względem liczebnym jest w odwrotnym stosunku do rozwoju indywidualnego.

Nowe to prawo, zaznaczając nieustanną wędrówkę atomów społecznych, wyłomaczyć jest zdolne niewidzialne zmodyfikowanie stosunku czynników etnicznych, które składały naród francuzki a także zmianę cech, właściwych tym czynnikom.

Mieszkaniec Francji dzisiejszej prawdopodobnie zjawiał się na zachodzie Europy w początku czwartorzędowego okresu, to jest mniej więcej przed 238,000 lat, podług M. Mortilleta. Należał on do rasy neanderthalskiej, podługnołowej, z wydatnymi cechami, przypominającemi małpę antropomorficzną. Pod koniec epoki czwartorzędowej i na początku bieżącej człowiek pierwotny, zmieniony przez ewolucję wielu tysięcy lat, uszlachetnił się i podniósł. Powstała ztąd rasa kromanińska (Cro-Magnon), w której się zatarły małpie wydatności i która zamieszkiwała dzisiejszą Francję środkową. Na początku epoki bieżącej napłynęła nowa rasa mała i krótkogłowa, najpierw w szczupłej ilości potem coraz większemi falami. Zmieszała się z rasą tubylczą, zepsuła ją przez krzyżowanie i utworzyła zamiast pierwotnego typu epoki krzemiennej kilka nowych typów.

Starożytni historycy zapisali, jako od wieków mieszkających na terytorjum galskiem: liguryjczyków, iberów, galatów i celty. Liguryjczycy—krótkogłowi, z gorącym temperamentem, czar-

uśmiechnięta, z oczami wzniesionemi w górę, rozmarzona i mówiła pół głosem do siebie:

— Ach! Czemuż nie mogę kochać? Czemu nie mam kogo kochać? Cóż to za życie!... Chciałabym mieć kochanka... jednego... porządnego kochanka!... Co ja mówię?... Chciałabym mieć dużo, dużo kochanków...

Na te słowa Cieżyński zbliżył się do niej na palcach, pocichu, miękko, jak lis czy kot, i, usiadłszy obok na fotelu, z brzegu, rzekł ledwie dosłyszalnym głosem, w którym jednak czuć było słodycz lubieżną i namiętność bezbrzeżną.

— Pozwól mi pani być pierwszym z nich, a choćby, *e te*, ostatnim!...

Maryja drgnęła, jakby ją coś ukłuło; odjęła raptownie głowę od poduszki i sztywno usiadła na otomanie, nie spojrzawszy nawet na Cieżyńskiego.

— Pani—szeptał Cieżyński błagalnie—jestem cały na twoje rozkazy!... Będę ci służył wszystkim, wszystkim!...

— Pan?... Nie!... Nigdy!...

— Czemu taka zawziętość?...

— Pan sam wiesz najlepiej!... Odejdź pan!

— Panno Zofijol!...

— Nie nazywaj mnie pan Zofiją... Zofija umarła!

— Ale dla mnie żyje!

— Zabraniam panu nazywać mnie po imieniu!... Zresztą odejdź pan!... Nie chcę znać pana!

— Czem panią prześlagać?!

— Nie dam się prześlagać niczem.

— Będę się stara!...

— Na nic!

— Oddam siebie, wszystko!...

— Wszystko na nic!

— A jeżeli pani będziesz kiedy mnie potrzebowała?...

— Choćbym miała z głodu umrzeć!

— Pożalujesz pani sama jeszcze, *e te*, kiedy tych słów.

— Nigdy!

— Ha! zobaczymy — wyszeptał Cieżyński głosem dwuznacznym, w którym czuć było zarówno chęć przekonania jej ku sobie, jak i coś w rodzaju pogródki, poczem wstał z fotela i podszedł spokojnie do Kulirowskiego.

— Cóż to? Od kosa-ś pan dostał—spytał Kulirowski.

— Mówiliśmy o rzeczach obojętnych.

— Hm! hm!... A mnie się zdaje, że wy się już dawniej znacie, niż mi pan o tem mówiłeś.

— Parę lat, istotnie!...

— Czuję maleńki dramacik w powietrzu!

— Panowie i pani!... Czas jest, abyśmy uczcili człowieka, którego sympatyczny talent literacki wszyscy uznajemy, a wysoki takt towarzyski wszyscy cenimy!... Rzadko się zdarza, zwłaszcza w mieście, złożonem z tak różnorodnych, *e-te*, żywiołów, aby tak dobrane towarzystwo zebrało się dla wyrażenia jednej idei, przy jednym stole.

— Idea dla mnie, to dobre wino—przerwała Maryja.

— Piję za zdrowie naszego poczciwego, zycznego, sympatycznego, ze wszechmiar zasłużonego pana Kulirowskiego, dzięki poparciu i staraniu którego, rozproszone, że się tak wyrażę, atomy uwielbienia dla talentu naszej niezrównanej *divvy*, skupiły się w jedną całość!

— Niech żyje protektor dramatu i opery!...

— W górę pana Ludwika!

— Dziękuję, dziękuję!... Niezasłużony ale szczęśliwy!

— Fałszywa, *e-te*, skromność!

— Głupstwo!... Co mecenas życzy tej gałce?

— Ależ panie Gurbaleckil! Co pan sobie myśli, zawołała dużym, dramatycznym głosem Żądłowska.

— *Pardon, madame!*... Omyliłem się!...

— Ładna omyłka!... Panno Maryjo... Pani kawaler zamiast siebie po łysinie, mnie draapie w łydkę!

— Proszę się nie zapominać—odtrąciła Maryja.

— Do kogo pani to mówi? Do mnie, czy do pana Gurbaleckiego?

— Do pani!

— Przecież nie odbijam pani kochankal!

— Mogę go pani oddać dobrowolnie!...

— Ależ, *ma mignonne!*... Zastanów się!...

Któż tak mówi?

— Idź pan do djabła ze swojemi uwaga-

nymi włosami i takiemiż oczyma, zajmowali doliny alpejskie. Krzyżowanie na równinach wydało rasę iberyjską raz krótko—to znów podłużno-głową. Celtowie byli potomkami już to napływowej rasy zaborczej, już to powstałi ze skrzyżowania się z rasą tubylczą. Wysochy, niebieskooccy, podłużnogłowi galaci przybyli przez północno-wschód nieco później niż celtowie i zajęli doliny rzek, zkąd wypchnęli ludność miejscową. Choć sami należeli do rasy europejskiej, ale wcześniej obeznani z cywilizacją aryjską wprowadzili ją wszędzie, dzięki swej przewadze militarnej. Przekazali więc nieokrzesanym celtom swe wierzenia, swój język, swoje obyczaje, oraz instytucje polityczne i cywilne. Aryjskie lub aryjanizowane plemiona odznaczały się wszędzie energią, inicjatywą, awanturnictwem i śmiałym umysłem. Biernym celtom dali potem rzymianie swoich nauczycieli, swój język i kolejno dwie religije: najpierw olimpijski politeizm a potem chrześcijański monoteizm. Wreszcie zaborcy germanie narzucili im panowanie arystokracji feudalnej i wpłynęli na nową zmianę ich języka. I właśnie widzimy dziś celtów najliczniej rozrzuconych po terytorjum francuzkiem: Usunięcie się od władzy, od wiedzy i bogactw, zamieszkiwanie biednych okolic—sprzyjały ich liczebnyemu rozwojowi.

Schroniskiem najstarszych ras są zwykle góry, w chwili bowiem najazdu tubylcy chronią się w nich na najwyższych punktach. Jeżeli najezdzący wyżsi są kulturalnie od zwyciężonych, jak to było z najazdem galatów, wówczas podbój pociąga za sobą a zwycięzców zaledwie słaby impuls do rozwoju indywidualnego. W przeciwnym razie, to jest gdy zwyciężeni są daleko wyżsi od barbarzyńskich najezdzców, ci ostatni wpadają w rozpustę i zbytek i wkrótce niszczą własną swą rasę. Zginęli w ten sposób ostrogoci, longobardowie i herule we Włoszech, westgoci w Hiszpanii i wandale w Afryce.

Najmniej płodne są zawsze plemiona mieszańce, znajdujące się na wielkich gościńcach wędrówek, gdyż po pewnym przeciągu czasu ustępować muszą miejsca najdawniejszym mieszkańcom okolicy. Skutkiem tego części terytorjum, zamieszkałe przez grupy etniczne, które ostatnie usadowiły się w kraju, muszą podlegać oligantropii. Do rządu najpóźniejszych przybyszów we Francji należą galaci, frankowie, burgundowie i normandczycy i dla tego szczepy te ska-

zane są na całkowitą zagładę. Statystyka wykazuje właśnie, że oligantropija najmocniej szerzy się w Normandyi.

Geograficzne tedy położenie, nie zaś rasa jest przyczyną wygasania podłużnogłowych mieszkańców Francji. Ale wygasanie to nieulega kwestyi i element celtycki zjawia się we Francji nowożytniej, jako niezaprzeczenie najliczniejszy, dominujący składnik narodowościowy. Schroniwszy się w górach podczas napływu coraz to nowych plemion, celtowie przeczekali wszystkie walki przybyszów z nowymi warunkami bytu i powoli zchodząc zaczęli na doliny. Ztamąd posuwali się do miasteczek, potem do miast większych, wreszcie do Paryża.

Trafna w zastosowaniu do geograficznego podziału ras, teoria włoskowości społecznej znajduje swe poparcie we wszystkich społecznych warunkach Francji. Wyliczyliśmy już wyżej trzy niekonsekwencyje w ustroju państwa francuzkiego. Rozbierzmy je szczegółowo.

Przedewszystkiem tedy chorobliwą narosła w demokracji francuzkiej jest posunięta do potwornych granic centralizacja. Stanowi ona wynik i pozostałość ideału cezaryzmu, przeblysającego w historii francuzkiej prawie od początku jej istnienia a zaszczerpionego w zachodniej Europie przez katolicyzm. Po upadku kościoła odbudowanie cesarstwa rzymskiego było chimerą, którą się zajmowało bardzo wiele umysłów, jak Karol VIII, Karol V, Ludwik XIV, wreszcie Napoleon.

Do szczytu swego dochodzi centralizacja francuzka za czasów Ludwika XIV i od tej pory wszystko odbywało się w państwie przez króla i jego urzędników. Nie pomogła rewolucja—centralizacja potężnieje z dnia na dzień. Smutnym jej owocem jest nadzwyczajne rozpanoszenie się biurokracji. Armija z 6,000 ludzi, złożona z sekretarzy państwowych, dyrektorów, pomocników, redaktorów, ekspedytorów itd. stanowi personel centralny, który nadaje kierunek całej machinie. Choć rok 1848 wprowadził powszechne głosowanie, niemniej przeto, dzięki władzy biurokratów, panuje dziś we Francji rząd, któryby nazwać można anonimowym cezaryzmem. Posady urzędnicze od r. 1876 zaczęły się mnożyć tak szybko, że w różnych ministerjach ustanowiono 10 nowych dyrekcji, 19 vice-dyrekcji, 51 szefów biura, 74 pomocników itd. Przez trzynastcie lat pensyje cywilne wzrosły więcej niż o sto milionów franków. Pod tym wzglę-

dem Francja dzisiejsza podobną jest do monarchii Dioklecjaniana, w której, podług Lactancjusza, więcej było urzędników, niż płacących podatków cała władza należy do urzędników, każdy chce władzę tę osiągnąć. Jeżeli zaś ideałem przeciętnego francuza jest zajmowanie urzędu, to znów ideałem każdego urzędnika jest awans. Ten ostatni zmusza do zmiany miejsca pobytu, wymaga stosunków, przyjęć reprezentacyjnych itd., co wszystko daleko jest łatwiejszem dla człowieka, żyjącego w celibacie, niż dla obarezonego rodziną. Wyludniają się więc miasteczka, pnie się do najwyższych sfer nawet klasa rolnicza. Choć wszyscy głoszą, że urzędnicy są sługami narodu, ale rolnik pustych słów nie słucha. Przywyka widzieć w urzędniku kogoś wyższego od siebie i pragnie wejść koniecznie do tej kasty uprzywilejowanej. W r. 1882 liczba kandydatów, którzy składali egzaminy dojrzałości (baccalauréat) dochodziła do 12,000, z których zaledwie jedna trzecia złożyła egzamin zadawalniająco. Pochodzi to naturalnie z dążenia klas zamożniejszych do posad rządowych. Gospodarz umiera na roli bez zastępcy, a ziemia jego przechodzi w ręce innego gospodarza, który również syna do miasta wyprawił. Tym sposobem zwiększa się coraz mocniej włoskowość społeczna i, odwrotnie, zmniejsza się rozrodność.

Choć Londyn np. wzrasta jeszcze szybciej niż Paryż, ale nie przeszkadza to rozwojowi innych wielkich miast angielskich. Marynarka, przemysł i handel są głównymi przyczynami wzrostu Londynu; ambicja zaś, przyjemności, potrzeba rozwoju intelektualnego i estetycznego—są głównymi przyczynami wzrostu Paryża.

Rezultatem nadmiernej centralizacji jest przesadna emanacja Paryża, przejawiająca się we Francji we wszystkich zjawiskach społecznego życia. Sztuka, gust, zbytek, mody, książki, dzienniki i pisma—wszystko wypływa z Paryża. Prawie wyłącznym dziełem paryżan są wszystkie trzy rewolucje (1789, 1830 i 48). Emanacja mogła być zjawiskiem naturalnym w starożytnym Rzymie, gdzie stolica podbiła prowincje. Ale nie widzimy jej wcale w takich np. republikach, jak Szwajcaryja i Stany Zjednoczone, gdzie nawet miejsce pobytu władz centralnych nie posiada żadnych przywilejów. Bern i Waszyngton nie są nawet największymi miastami w państwie. Emanacja paryżka ma bardzo tru-

mil... Śliczny kochanek!... Łysina, jak kula bilardowa, a brzuch, jak u kanonikal

— Pardon! Jestem dobrze zakonserwowany...

— Dziękuję. Wolę najlichsze mięso, byle świeże, niż najlepszą konserwę!

Całe towarzystwo wybuchnęło głośnym śmiechem i napowrót zebrało się przy stole. W tej chwili wszedł lokaj, niosąc w ręce szmat zadrukowanego papieru.

— Korekta! Brawo—wykrzyknął Hebalski, wybiegając na środek gabinetu.

— Daj pan! daj pan!... Przecież ja będę czytał...

— Chwilkę cierpliwości—odpowiedział Hebalski, wyjmując zegarek.

— Daj pan!...

— Zaraz! Muszę najpierw skonstatować godzinę!... Tak: nie zawiodłem się na akuratności mojej drukarni, jak p. Gurbalecki na dyskrecyi pani Żądłowskiej... Jest godzina druga, minut czternaście. Śliczna *Nitouchel* Masz i czytaj!

— Pfel jak to czuć—zawołała Maryja, odbierając korektę z rąk Hebalskiego.

— Śliczny zapach dla nas dziennikarzy i literatów!... Świeża farba drukarska.

— Słuchajcie!... Czytam wszystko od początku!...

— Słuchamy!

— Słuchamy!

— A to co?... Nie ma tytułu... Gdzie początek?

— To tylko druga, wewnętrzna strona mojego „Gońca”.

— Aha! Rozumiem!... Uciszcie się! Czytam wszystko od początku. Recenzycja o dzisiejszej mojej *Nitouche* wyda się wam niespodzianką, a mnie będzie lepiej smakowała.

2

GONIEC WARSZAWSKI.

Nr. 304

transport kwasu siarczanego w gąsiorach.

Jeden z gąsiorów spadł z wozu i uległ rozbiciu.

Jednocześnie ktoś z przechodniów rzucił nań niezgaszoną zapalkę.

Kwas zapalił się i w jednej chwili groźna rzeka ognia popłynęła rzyńskimi.

Płomienie szczęśliwie stłumiono.

Winną zbiegł.

A gdzie znajdował się stróż bezpieczeństwa publicznego?

— Pożądana energia.

Po laury, na jakich spoczął niezapomniany dla miasta p. Apfelbaum, sięgał i jego następcy, p. Kleinermann...

Obecny przedsiębiorca wywózki nieczystości miejskich pociągnięty został już dwa razy do kary za niewykonanie umowy. Nie odniosły one jednak skutku.

Błędne zdrowie naszel

= Rzadki gość.

Rzadki gość ukazał się wczoraj na bruku Warszawy, ku wielkiej radości małoletnich... przechodniów.

Był to... stoł ogromnych rozmiarów, prowadzony przez środek miasta ze stacyi kolejowej do cyrku.

Tym razem przybyła naszemu syczeniu grodowi jedna więcej... trąba.

= Borsuki—baranki.

Opowiadają o plotkarstwie, iż z igły umie zrobić widły.

Sztuka drukarska, przy pomocy

niewyraźnego rękopisu, stwarza niekiedy nie mniej ciekawe metamorfozy.

Świadkami tego byliśmy wczoraj.

Pod rubryką „Ze świata” niewinne *baranki* przemieniły się w *borsuki*, a włosie ich stało się welną... z której mają być tkane paliuszki dla kardynałów i arcybiskupów.

Mezaljans ten ortograficzny, za pomocą którego indywidua z rodziny owczej stały się członkami familji niedźwiedzi, stał się niespodziewanem potwierdzeniem darwinowskiej heraldyki gatunków.

I cóż wy na to, domorośli darwinisci?

= Oryginalny obiad.

W jednym z handelek tutejszych odbył się poczęstunek, a raczej obiadek, tak zwany „na wspan”.

Zaczęto od likierów z kawą, poczem przystąpiono do lodów i dziczyzny z komputami, i tak biesiadnicy szli z dołu do góry, po truflach i majonezach aż do zupy i przekąsek z wódką.

Czy uczestniczył przy tem... psychiatra?

= Tyfus.

Zmienna i wilgotna tegoroczna aura jest źródłem epidemicznych chorób.

Do dyfteryi, ospy i szkarlatyny przybył jeszcze tyfus.

All right!

— „All right!” To mój dopisek—przerwał Hebalski z dumą, chwytając się za baczki.

— Łatwo się było tego domyśleć! Zresztą ty i cały twój *Goniec* jest w dopiskach.

— Przyznasz pan jednak, że to podnosi smak i barwę wiadomości brukowych.

— A mnie się zdaje, że to podnosi tylko poziom rynsztoka, którym płyniesz pełną parą i z wiatrem, ku uciesze gawiedzi.

— Co pan przez to rozumie?

— Że głupstwa małe wyprowadzacie na wielkie wody.

— A jednak publiczność...

— Publiczność lubi hecarstwo, koziołki stylizacyjne, za pomocą których zwracacie jej uwagę na rzeczy niegodne uwagi.

— *Ah! que c'est juste*—przerwał Gurbalecki.

— Panie Gurbalecki! *Ciocia* się nudzi, a pan niepotrzebnie wtrąca się do dyskusji nad kwestyją stylu.

— I ty to nazywasz stylem?—spytał Kulirowski.

— Więc coż to jest?

— Zwyczajna Hebaliada, która tylko na warszawskim bruku udać się może—odtrącił Kulirowski.

— Ej! panie Ludwiku, żebyś tylko tych słów nie pożałował!

— Nie przerywajcie mi panowie, bo i tak dzisiejszy *Goniec* jest aż nadto nudny! Ani jednej zbrodni!—dodała Maryja z westchnieniem i zaczęła czytać dalej:

= Pociuszająca wiadomość.
Dowiadujemy się z najpewniejszego źródła, iż znany nasz i sympatyczny literat, poeta i podróżnik p. Ludwik Kulirowski, porzucił zamiar ponownego wyjazdu na „daleki Wschód” dokąd go ciągnęły wspomnienia z lat dawnych, i odtąd będzie stale pracował na rodzinnej niwie. Cieszymy się!

(d. c. n.).

dne zadanie, musi bowiem realizować olbrzymie postępy aby zmniejszyć straszne nierówności, jednocześnie zaś walczyć z biurokracją, stawiającą tamę naturalnemu postępowi.

Rewolucja, ogłaszając dostęp wszystkich obywateli do urzędów, wzniosła również jako najwyższą potęgę—kapitał a ten należeć ma do każdego, kto go zdobędzie. Od chwili więc, kiedy bogactwo stało się wielkim źródłem wpływu, panowania i powagi, cały naród dążyć począł do jednego celu: zdobycia fortuny. Z wyjątkiem niektórych środków, wprost wzbronionych przez kodeks karny, wszystkie inne są dobre, jeżeli prowadzą do bogactwa. Wiadomo, że ciężary rodzinne mocno utrudniają zbogacenie się i dla tego ci tylko, którzy zgodzić się musieli na nędzę — proletaryjusze rodzą najwięcej.

Dzięki szczególnym okolicznościom, religija stała się jedną przyczyną więcej do zmniejszenia się rozrodczości francuskiej. Francja jest jedyną na świecie demokracją katolicką. Zdawałoby się, że przy stosunkowo wysokim rozwoju swobody myślenia katolicyzm wymarł we Francji zupełnie. Nie jest tak jednak. Zwyciężony na polu rozpraw publicznych, przeniosł się do sfery, w której może być wyjątkowym nauczycielem. Wziął się do szeptania, do nauczania po cichu i naucza też słabych, kobiety i dzieci. Odbija się to fatalnie na rodzinie. Małżeństwo jest najlepszą gwarancją wartości dzieci a także najlepszą higieną fizyczną i moralną dla indywidualów. Ale powinno być niezbędnie całkowitą, pod każdym względem, spójnią, pomiędzy jednostkami. Tymczasem w kraju demokratyczno-katolickim władza ojcowska upada, bo kierownik sumienia bierze miejsce ojca w duszy żony i dzieci. „Gdy wejdiesz wieczorem do jakiego domu i usiądziesz przy stole familijnym, zobaczysz z jednej strony zgadzające się ze sobą matkę z córką, z drugiej osamotnionego ojca. Cóż to jest? Oto przy stole tym jest jeszcze ktoś czwarty, kogo nie widzisz a kto właśnie zaprzecza i zadaje kłam wszystkimu temu, co powie ojciec” (Michelet—*Du prêtre, de la femme et de la famille*). Niemniej szkodliwie wydatnia się wpływ księży w wychowaniu w klasztorach, które do niedawna były jeszcze jedynym miejscem kształcenia dziewczyn. W klasztorze są tylko dwa ideały: mniszka lub królowa salonu. Czyż mąż, wzięwszy żonę z takimi pojęciami, nie rozczaruje się? W niektórych departamentach takich jak Côtes-du-Nord, gdzie kościół zachował swe znaczenie, ilość ślubów zmniejsza się nieustannie. W Hiszpanii za czasów Filipa II oligantropija była niezmiernie silną.

Katolicyzm posiada jeszcze i wpływ pośredni. Razem z hedonizmem prowadzi do nieuznawania solidarności jednostki z rasą w gatunku i w czasie. „Zajmij się—woła—tylko samym sobą, rzuć politykę, zostaw innym wojnę i sprawy służbowe, nie dbaj o bogactwa, porzuć kobiety i małżeństwo, porzuć dzieci, żyj w celibacie i zamknij się w sobie i wejdź w siebie, abyś uzyskał zbawienie.”

Wraz z szybkim wzrostem bogactw rośnie współzawodnictwo w dziedzinie estetyki praktycznej. Z wszechwładnego panowania mody wyrasta niepomierna nierówność pomiędzy ludźmi, tym przykrzejsza, że ludzie na wpływy estetyczne są czulsii, niż na inne. Zresztą kultura estetyczna daleko dostępniejszą jest dla człowieka, niż władza, szczęście a nawet wiedza; stanowi ona nieodłączną część osobistości. Społecznym zadaniem sztuki jest upiększać albo osobę albo też jej otoczenie. Pod tym względem przeto odróżnić należy: estetykę demokratyczną i estetykę arystokratyczną. Pierwsza dotyczy formy—druga materji; pierwsza polega na elegancji i proporcjach, druga narzuca się przez swój materjał i ilość zawartę w nim pracy, pierwsza jest pięknem, dostępnym dla każdego, druga żądzą okazania się bogatym, a więc zbytkiem. Ta druga właśnie rozszerzyła się we Francji demokratycznej. Chociaż od przeszłego wieku francuzi zrobili znaczny postęp w prostocie, choć zbytkowne stroje zamienione zostały na fraki, w których chodzą wszyscy, począwszy od prezydenta republiki a skończywszy na robotniku—niemniej przeto od trzydziestu lat, szczególnie w dziedzinie strojów kobiecych, zbytek w odzieży i w umeblowaniu objawia się silnie. Ztąd też sprzeczność w sferze estetycznej jest

jeszcze większą we Francji dzisiejszej, niż sprzeczność w dziedzinie władzy i wiedzy. Powiększają się przez to smutki i niedole, upokorzenia i przykrości, które nasycają rozmaite klasy społeczne żądzą oryginalności i wzniesienia się ponad swą sferę, a ztąd nowa przyczyna do osłabnięcia rozrodczości. Te właśnie departamenty najmniej są płodne, gdzie liczna burżuazja wiejska tonie w zbytku estetycznym. W wielu zaś biedniejszych kantonach, oddalonych od wielkich miast np. w Bretanii, ludność powiększa się regularnie.

Wszystkie te sprzeczności pojedyncze wytwarzają we Francji zupełne wyosobnienie jednostki. Zamierają uczucia solidarności z narodem, aby dać przeciwwagę egoizmowi indywidualnemu. Zdrowie ciała społecznego utrzymuje się jedynie przy równowadze dwóch przeciwnych sobie sił, któremi są: dążenia społeczne i dążenia indywidualne. We Francji te drugie rozwinięły się karykaturalnie na niekorzyść pierwszych. Nadzwyczajny rozwój indywidualizmu zgubił Spartę, przez zbytne poczucie solidarności upadły Ateny a przez brak poświęcenia się jednostek dla społeczeństwa runął Rzym.

Dawniej, rodząc się, znajdował francuz wyraźnie określone stanowisko. Dziś musi sobie sam wyrobić przekonania polityczne, społeczne, filozoficzne i estetyczne a prócz tego musi dorabiać się fortuny. Nie pozostaje mu więc ani środków, ani czasu na założenie rodziny i wydanie na świat następców. Demokracja więc francuska, powiększając wartość indywidualną i ambicyję osiągnięcia najwyższych miejsc, przyczynia się dwoma drogami do zmniejszania się ilości urodzeń: z jednej strony podnieca namiętności, przeciwne miłości i ojcowstwu; z drugiej, rozszerzając życie umysłowe, czyni człowieka panem samego siebie i mniej opanowanym przez popędy naturalne. Od chwili, kiedy miłość przestaje być ślepem bóstwem, staje się zaś faktem kompletnie świadomym swobodnej i refleksyjnej woli, nieuniknioną jest rzeczą, iż się zmniejsza płodność.

Jednym słowem, atrakcyjja włoskowata, wielka dźwignia całego postępu, otrzymawszy wskutek szczególnych okoliczności nienormalną działalność we Francji współczesnej, pociągnęła za sobą olbrzymią przewagę tendencji indywidualnych na niekorzyść tendencji społecznych.

Taką jest ogólna choroba, którą są dotknięci francuzi i której oligantropija jest tylko jednym z poszczególnych przejawów.

Jan Lorentowicz.

CZEM JEST IZRAEL?

Szkic historyczno-społeczny.

SKRĘŚLIŁ

Witold Ziemiński.

VI.

Tą przewagę pierwiastku nienawiści, pierwiastku burzącego — nad pierwiastkiem organizacyjnym, twórczym, ten wreszcie kierunek — pozostawiamy materyjalistyczny, widzimy w działaczach żydowskich, biorących udział we współczesnym ruchu demokratycznym.

Otóż, zarówno teoretycy tego kierunku, jako też i praktyczni działacze — żydzi, formułując z wielkim nawet talentem dialektyczno-polemicznym dążności czwartego stanu — zdradzają jednak tą charakterystyczną cechą umysłową swego plemienia, ten „esprit exclusif et simpliciste”, jak mówi Renan, polegający na dążności prowadzenia zjawiska do najprostszej formy, co pociąga za sobą spaczenie charakteru jego, nadając mu cechy grubo-wulgarnie.

Dla umysłu żydowskiego, kwestja socjalna w gruncie rzeczy zawsze sprowadza się do pojęcia, sformułowanego przez najznakomitszego przedstawiciela ducha, swego plemienia, Henryka Heinego.

„Es giebt zwei Sorten Ratten, die hungrigen und satten”, tak za Heinem formułują żydowscy politycy stosunki społeczne.

Z tem wszystkiem takie stawianie na piedestale egoizmu i potrzeb materyjalnych z czasem budzić musi uczucie niesmaku w rasie, przywykłej we wszystkie swe dążenia i porywy wkładać pierwiastek idealizmu.

Istnieje jeden, bardzo w rzeczywistości potężny, a jednak, mało bardzo w psychologii społeczeństw uwzględniany czynnik, a tym jest odrębność typu duchowego.

Ta odrębność sama dać jest w stanie niejednokrotnie przewagę we współzawodnictwie życiowym.

Umysł każdego człowieka, dzięki wpływom otoczenia pochodzenia i tresury wiekowej, przywykł do pewnych, właściwych dla danego typu narodowego lub plemiennego, form myślenia; do spoglądania na zjawiska świata zewnętrznego i oceniania takowych z pewnego, określonego stanowiska.

Jeżeli osobnik danego typu duchowego spotka współzawodnika umysłowości odmiennej, znajduje się w położeniu podobnem do tego, w jakim znajdują się dwa walczące ze sobą osobniki odmiennego gatunku zoologicznego. Jedna strona nie jest w stanie ocenić siły drugiej strony, ani przewidzieć jej ruchów i w ogóle natury walki. Wobec obcego wyglądu i niespodziewanych zwrotów nawet silniejsze zwierze miesza się, traci przytomność umysłu, ulega, lub ustępuje.

Walki psa z kotem, krokodyla z żółwiem, wilka z żubrem i mnóstwo innych, ze świata zwierzęcego poczerpniętych, przykładów — być mogą dowodem tego zjawiska naturalnego, którem w sferze stosunków społecznych objaśnić się da nagle przewaga pewnych typów, niespodziane kariery, jakie robią jednostki i rody, które zniwacka wypłynęły z głębi bezimiennego tłumu, nie będąc obdarzonymi nawet żadnymi szczególnymi przymiotami; wreszcie wiele zjawisk, określanych ogólnym terminem — ślepego szczęścia.

Potężny wpływ tego właśnie czynnika — odrębności duchowej — przedstawia A. Daudet w swej znakomitej powieści: „Numa Roumestan”, której treść wypełnia historia podboju północnej, gallickiej Francji przez południowców prowansalskich, pod każdym względem od pierwszych niżej stojących.

Że, odgrywając tak ważną rolę w życiu społeczeństw europejskich, musieli wycisnąć żydzi piętno właściwe na charakterze umysłowym i etycznym współczesnych społeczeństw — jest to zjawiskiem bardzo naturalnem, na które jednak zbyt mało zwraca się uwagi.

Jakkolwiek obniżenie się poziomu etycznego, dążność z bogactwa się za jaką bądź cenę, egoizm jednostkowy i walka wszystkich ze wszystkimi, podniesione do zasady społecznej — są nieodłącznym wynikiem przeżywających się form gospodarstwa narodowego, opierających się na walce konkurencyjnej i przewadze kapitału — to jednak nie ulega dla nas wątpliwości, że wszystkim tym ujemnym stronom życia społecznego nadał Izrael szczególnie jaskrawe zabarwienie i spotęgował je do rozmiarów prawdziwie potwornych.

Przyznając, że w dowodzeniach antysemitów, dopatrujących się wpływu żydowskiego we wszystkich przejawach społecznego życia i we wszystkich niemal opiniach współczesnych — mieści się wiele bardzo przesady — nie możemy jednak temu zaprzeczyć, że istnieją wśród społeczeństw europejskich, kierunki i mniemania, obce duchowi owych społeczeństw, a natomiast zdradzające wyraźnie swe wschodnie pochodzenie.

Zpośród przykładów tej duchowej infiltracji wskażemy jeden, najcharakterystyczniejszy, mianowicie: zjawienie się kosmopolityzmu, jako zasady społecznej i ideału ludzkości.

Mimo swą starożytną nazwę, kosmopolityzm ten jest zjawiskiem zupełnie współczesnem. Nie posiada on w założeniu uczucia miłości dla całego rodzaju ludzkiego, nie opiera się na przeswiadczeniu o istnieniu jednej, wspólnej, bezwzględnej prawdy, nie wypływa z czci dla wiedzy i piękna, bez względu na jego źródło — nie jest, jednym słowem, wynikiem wzmocnienia się i podniesienia do wyższego stopnia uczuć altruistycznych — jest on, przeciwnie, zjawiskiem uwestecznienia i rozkładu społecznego, idzie bowiem w parze z zanikiem pewnych, wiekami wyrobionych, zdolności wzruszeniowych i posiada szczególny jakiś barbarzyński charakter.

Każdy wykształcony europejczyk wie o tem doskonale, że dziedziną myśli wspólną jest dla wszystkich istot ludzkich, że jedną jest wiedza i nauka, jak jednemi są prawa, rządzące światem całym.

Rozumie przeto, że w kierunku praw owych zbadania współdziałanie wszystkich, tak różnorod-

dnych umysłów—doprowadzić jedynie może do jaknajdoskonalszego, najwszechstronniejszego poznania; podobnie, jak w dziedzinie materialnego życia, bratnie współdziałanie wszystkich ludów w wywalczaniu dla siebie na świecie lepszych bytu warunków — jest największą ręką osiągnięcia najwyższej, możliwej sumy szczęścia. Wie on jednak, że wytworzenie drogi naturalną różnicę i odrębności, między istotami ludzkimi zachodzące—bynajmniej temu współdziałaniu nie stoją na przeszkodzie, lecz, owszem, zapewniają powodzenie takowego.

Takiego przeto stanu, w którym znikłoby uczucie miłości do ziemi rodzinnej, przywiązanie do mowy ojczystej, poczucie szczególnej solidarności z tymi, wśród których się wzrosło i dojrzało, takiego stanu, w którym ludy świata całego, pomieszane ze sobą w jedną chaotyczną masę, nie znalazłyby innych węzłów, nad te, które łączą jednostki w celu wyprodukowania pewnej wartości ekonomicznej—wątpię bardzo, czy, przy całym wysiłku fantazyi, osiadły mieszkaniec Europy byłby w stanie sobie wyobrazić.

Natomiast dla członka szczepu koczowniczego, dla azjatyckiego kupca—sekciarza—pojęcie to jest rzeczą całkiem realną, tak bowiem dotąd żyją przeróżne sekty—narody Wschodu, jako to Druzowie, Nazairzy, Haszyszymi, Wahabici, Gwebrowie; taką wreszcie od wieków jest egzystencja sekty izraelskiej.

Tem tylko da się wytłomaczyć, że żydzi, jakkolwiek wśród narodów o wysokim poczuciu plemiennym lubią wystawiać na pokaz swój hałaśliwy i zaczepekny patryjotyzm—poza sferę polityki, we wszystkich, swobodnych uczuć swych przejawach, zarysowują się jako świadomi kosmopolici, gdy tymczasem dla ludzi zachodu jest to pojęcie po prostu czemś niezrozumiałem i wstrętnem, równoznacznem niemal z obojętnością dla wszystkich bez wyjątku ludów, z nieuznaniem żadnych obowiązków względem społeczeństw, wśród których są żyje, jest, jednym słowem, przejawem najbardziej poziomego egoizmu.

W tem to znaczeniu przywódca demokratów francuzkich, Jules Guesde pojmuje kosmopolityzm, gdy w przemowach swoich zwalcza dążności Rotzylidów, Montefiorych „et de toute la juiverie cosmopolite”.

Tak więc po raz czwarty od czasów swego istnienia zbliżył się Izrael do ludów obcych; nigdy jednak zbliżenie to nie było tak zupełnem.

Możnaby przeto było oczekiwać, że, na Zachodzie przynajmniej, zatraci sekta swój charakter wyłączny a członkowie jej, wyrzekłszy się swych ambitnych planów, poprzestaną na równouprawnieniu z ludnością tubyleczą i, przyjąwszy równy z nią udział w życiu materialnym i duchowym społeczeństwa, znikną niebawem, wchłonieni przez żywioł krajowy.

Otóż, rzeczywistość wykazuje bezzasadność tego przypuszczenia.

Widzimy w takich centrach cywilizacji, jak Londyn i Paryż, zwarte gminy żydowskie, pod wodzą rabinów skupione naokoło synagogi. Członkowie tych gmin, piastujący nieraz najwyższe w kraju godności, ludzie, z obyczajów i wychowania do społeczeństwa europejskiego należący, —zachowują jednak silne poczucie solidarności zgromadzenia i odrębności takowego od reszty społeczeństwa.

Wypadki małżeństw mieszanych pomiędzy żydami i chrześcianami do rzadkich bardzo należą na Zachodzie zjawisk, a już nigdy nie zdarzyło się spotkać oświeconego izraelity, którego wolność do wyłączenia swego potomstwa od charakterystycznego obrządku, będącego widocznym znakiem przymierza z bogiem Izraela.

Natomiast ze zdziwieniem widzimy w bezbożnej Francji ministrów i senatorów z obozu radykalno-republikańskiego—zasiadających w dnie świąt izraelskich, w białych z czarnymi przęgami płaszczach, na ławkach synagogi.

Dostrzeżemy następnie, że owi cywilizowani żydzi poczuwają się jawnie do solidarności ze swymi współwyznawcami „innych narodowości” i pracują gorliwie nad złączeniem rozproszonego po świecie Izraela w jedno zgromadzenie. Alliance Israelite, stowarzyszenie założone przez ministra francuzkiej rzeczypospolitej, p. Cremieux, cel ten stawia otwarcie, przyznając się

nawet do dążności przodowania innym ludom, uzasadniając tą pretensją szczególni umysłowymi i moralnymi żydów przymiotami, a w pierwszym rzędzie—głęboko filozoficznym, humanitarnym charakterem nauki Mojżesza.

„Widzimy, mówi Bellangé, między cywilizowanymi żydami Zachodu usiłowania odnowienia judaizmu przez zjednoczenie go z myślą współczesną. Mówią nam o judaizmie uproszczonym i liberalnym, sformułowanym przez proroków. Twierdzą, że obrządki mają w judaizmie jedynie przejściowe znaczenie. Niektórzy nawet żydzi, prześcigając Filona i Majmonidesa, dochodzą w swym synkretyzmie do twierdzenia, że judaizm przez swój dogmat *jedynobóstwa* spotyka się z nowożytną nauką o *jedności sił*, czyli filozofiją ewolucyjną — zaś przez mesyjanizm z *wiarą w postęp społeczny*...”

Z niwy literackiej swojej i obcej.

Kwestyja: czy się nauka z wierzeniem godzi, nie zchodzi z porządku dziennego i w ostatnich czasach zmanifestował się zwrot ku odpowiedzi na pytanie to w sensie dodatnim. Przyczyna zwrotu tego widoczna. W kierunku tym cywilizacja nasza rozwijała się bezprzeszkodnie do końca wieku XVIII; pod skrzydłem kierunku tego ukształtowały się pojęcia, uformowały klasy społeczne, wytworzyły instytucje i nagromadziły środki, mające w utrzymaniu onego interesu żywotny. Te pojęcia, klasy, instytucje i „środki, silnie zorganizowane, przedstawiają obóz obronny, który, stosownie do potrzeby chwili, działać może odpornie lub zaczepnie, działając zaś zaczepnie—wybierać oręż najlepiej potrzebnie odpowiadający. Historyja z odkryciem Kopernika i z sądem na Galileusza działalność tą ilustruje. Dziś, nie dawno zmarły ojciec Secchi nie przeczy, że *epur si muove*. Przystosowywanie się do postępu jest sposobem, wchodzącym do zakresu taktyki zaczepnej. Widzi się to w zakładanych obecnie „uniwersytetach wolnych”, w których, za hereetyckie niegdyś uznawane i kłótniami obłożone, poglądy i praktyki naukowe cieszą się błogosławieństwem Ojca świętego. We Fryburgu dwóch profesorów wykładają socjologię. Zwrot przystosowawczy widoczny jest w świecie katolickim, zaznaczając się wyraźnie w zakładach naukowych i w pracach piśmienniczych. O jednej z tych ostatnich, a mianowicie o dziele historycznym Janssena, „Niemcy i Reformacja”, pisałem poprzednio. Wymierzonom jest ono przeciwko protestantom. Protestanci ze swojej strony nie zasypiają gruszek w popiele; oni bowiem, wywalczwszy „wyzwolenie sumienia”, wyzwolili je pod warunkiem zachowywania wiary. „Wierz, jak ci sumienie wskazuje, ale — wierz!” Wierzenie jest dla nich *conditio sine qua non* i, widząc, że je nauka zachwiewa, występują w obronie onego.

Gorliwym, a od stóp do głowy odpornie i zaczepnie uzbrojonym, w obozie protestanckim bojownikiem jest członek instytutu francuzkiego i akademii palermitańskiej, akademii sabaudzkiej i Atheneum weneckiego, b. profesor filozofii w akademii genewskiej, Ernest Naville. Pan E. N. dzieł kilka w obronie wiary napisał; jedno z nich tłomaczonem zostało na język polski; obecnie wyszła jego: „Fizyka nowoczesna” (*La physique moderne, études historiques et philosophiques*). Czcigodny autor konstatuje upadek wiary w istność najwyższą, ale w umysłach niedouków i wykazuje takowy „szczególnie u nauczycieli szkół niższych i światowców”. Zanalizowawszy rozum ich, cóż się znajduje? — na miejscu Boga, bałwan materialistyczny, złożony z trzech lub czterech nauk fizycznych, które on naiwnie nazywa Umiejętnością (*Science*) i oddaje jej hołd z czcią największą; jest to adorowanie wielkiej litery, zastępujące kult ideału. Mów mu o wielkich intuicyjach, rozjaśniających idealnie dusze ludzką, o rozkosznych metafizycznych, w których się lubuje umysł przenikliwy, on się uśmiecha pobłażliwie: czyż bowiem sposób słyszeć wewnętrzne głosy duszy, wśród zgiełku przemysłu, wśród hałasu dróg żelaznych? Czy sposób dostrzegać łagodną jasność świata niematerialnego przy blasku światła elektrycznego? Dostępnym

to jest jeno dla umysłów wyższych, dla rzeczywistych uczonych, których autor szereg długi na świadectwo wzywa: Kopernik, Kepler, Bacon, Descartes, Galileusz, Newton, Leibnitz, dalej Ampère, Cauchy, Fresnel, Faraday, Robert Mayer, wreszcie Chevreuil, Quatrefages, Pasteur, August de la Rive...

Niechże się sobie koło fortuny toczy, wyrzucając na wierzch hałasy na niwie naukowej i literackiej, na której się i niehałasy pojawiają. Do rodzaju tych ostatnich zaliczyć należy „Historyję Żydów” przez p. Hilarego Nussbauma. Pracy tej (za przysłaniem mi której serdeczne szanownemu autorowi składam dzięki), wyszedł tom piąty i ostatni: „Żydzi w Polsce”. O dziele tem pisałem w roku poprzedzonym, gdy m pierwsze dwa tomy miał przed sobą i, wyznając, trzy ostatnie nie zmieniły wrażenia pierwotnego, tycającego się budowania historyi z materiału legendowego. Materiał taki nadaje się na studjum filozoficzne tego rodzaju, jakiego wzór dał Renan, a które służyć może za podstawę do kształtowania wykluwającej się z jajka nauki: psychologii narodowej. Legendy, produkcje pracy umysłowej, dają miarę siły i rodzaju twórczości, jaką zawiera w sobie gleba, na której wyrósł naród. Można z niej ulepić historyję bajeczną, ale nie pozytywną i nie innemi też, jak bajecznymi, są pierwotne ludu wybranego dzieje. Dzieje te pewniejszemi być poczynają od momentu, jak lud ów wszedł w styczność z narodami, które w historyi ślady po sobie pozostawiły. Cóż to była za styczność? Od razu jawi się ona pod postacią handlową, a jawiąc się pod tą postacią, nasuwa na myśl przypuszczenia, że handel stanowił psychiczną tego „ludu wybranego” specjalność w najdawniejszych bytowania jego pierwocinach. Specjalność ta przebija się w legendach z epoki pasterskiej. Jakób za sto jagniąt kupuje pole od Hemora i Hemor, namawiając Jakóba, ażeby w Sychem z rodziną zamieszkał, mówi do niego: „I będziecie z nami mieszkać, a ziemia będzie przed wami; mieszkaćcie i *handlujcie* w niej, i osadzajcie się w niej”. Józefa bracia chcieli zamordować, woleli go jednak *sprzedać*, gdy się okazały nastroje. Abraham udał się do Egiptu dla głodu, który panował w ziemi Chananejkiej, a gdy z Egiptu wyszedł: „był bardzo bogaty w bydło, w srebro i w złoto”, mówi Pismo święte. Zaoopatrzonych w bydło, srebro i złoto, wyprowadził żydów Mojżesz z Egiptu. W legendach handel wyraźnie lub w rezultatach stanowi nie czerwoną, nie urywającą się ani na chwilę i zszywającą przymierze „ludu wybranego” z Jehową. Występuje on następnie jeszcze wyraźniej. Gdy się żydzi w Palestynie osiedlili, Palestyna służyła za ognisko dla stosunków handlowych, wyprzedmianych się do Egiptu, Abisynii, Babilonu. Handel, sprzężony z religiją i polityką, znamionuje dobę niepodległości narodowej, po przeminięciu której, polityka znika a handel i religija pozostają, nadając narodowi, rozproszonemu po Azji, Afryce i Europie, charakter spółki handlowo-religijnej. *W tym charakterze wchodzi żydzi do każdego kraju*. Podkreślam te wyrazy dla zaznaczenia, że charakter tego nie przyjmują *faute de mieux*, ale przynoszą go ze sobą. To ważny, bardzo ważny w historyi ich punkt, który czcigodny autor pominął. Spółka handlowa w religijnym, w bogate legendy dogmatyczne udekorowanym futerale wyszła z Palestyny i kolonizowała się, gdzie i jak mogła, dążąc ku idealnej metropolii, zbudowanej na gruncie biblijnym, uprawianym z pokolenia w pokolenie od czasów niewoli babilońskiej aż do dni naszych. Stanowi ona więzadło dla historyi żydów w rozproszeniu i przyczynę ich cierpień, które na nich ściągają handel i religija. Pierwszy, w chwili przybycia ich do nowego kraju, jawi się pod postacią usług, zapewniających im przyjęcie uprzejme, lecz usługi, z handlowej wychodzące sfery, zmieniają się z czasem w wyzysk, który w tuziemcach budzi do przybyszwów niechęć. Niechęć potęguje religija, opierająca się na wierze w „wybranie przez Pana”, urabiającej w żydach arogancję, która niekoniecznie ludowi, uważanemu i uważającemu się za gościa, przystoi. Historyja ta, fenomen w dziejach ludzkości, powtarza się z kraju do kraju. Czyta się ona pomiędzy wierszami w „Historyi żydów” p. H. Nussbauma, pracy na wyłot apologetycznej i dla tego niedokładnej. Nada-

remnie poszukiwałem w niej opowiadania o działalności żydów na polu handlowym, zaznaczonej szczególnie w krążeniu bogactw. O tem ani słowa. A przecież z ich to łona wyszedł ten Kopernik, co nie tylko wynalazł, ale w życie wprowadził: obrót monety brzęczącej około kuli ziemskiej.
T. T. Jez.

GŁOSY.

— **Wspomnienie pośmiertne.** Ubył znowu jeden z tych nielicznych ludzi najstarszego dziesiątka pokolenia, „których zwykliśmy czcić i kochać z młodu”, jeden z pierwszych pisarzy dla ludu i o ludzie — J. K. Gregorowicz, znany niegdyś pod pseudonimem Janka z Bielca.

Dziad jego, Michał Solowiew był przybyszem z Białej Rusi, zdaje się, ze Smoleńska i od imienia ojca swego nazwał się Hrehorowiczem, ojciec był kupcem w Warszawie, później w Zgierzu, następnie zaś osiadł na wsi w Bilczy w Bielcu w sandomierskim.

Jan Kanty, urodzony w 1818 r., zaraz po ukończeniu szkół, wskutek śmierci ojca zmuszony był osiąść na wsi i prowadzić gospodarstwo, najprzód w sandomierskim Bielcu, później w Zgierzu nad Narwią.

Młody chłopak od razu serdecznie zbliżył się do ludu. Mieszkańskie pochodzenie i wychowanie uwolniły go od przesądów szlacheckich, wrażliwy umysł przejął hasła demokratyczne, jakie wówczas naokoło rozbrzmiewały, w tkliwym sercu jego zbudziło się współczucie dla ludu wiejskiego, który gorąco i wiernie pokochał.

Ta miłość dla ludu, wpadająca nieraz w sielankowy optymizm, przenika wszystkie jego utwory, zarówno pierwsze „obrazki wiejskie”, jak i ostatnie powiastki.

W swoim czasie ta nieco sentymentalna miłość ludu była pożądanym, a nawet koniecznym warunkiem skutecznego oddziaływania na czytelników. Dodać zaś trzeba, że Gregorowicz posiadał też prawdziwy talent pisarski i że w obrazkach jego mnóstwo jest szczegółów z życia ludu, zaobserwowanych trafnie i przedstawionych zupełnie realnie.

Z licznych prac J. K. Gregorowicza zasługują na wyróżnienie: „Obrazki wiejskie”, „Tomek Sandomierzak”, „Wieś Świątyni”, komedye: „Werbel domowy”, „Janek z pod Ojcową”, „Nowomodne zaloty” i t. d.

Gregorowicz był pierwszym redaktorem pisma ludowego *Kmiatek*, którego kierownictwo oddał następnie W. L. Anczycowi. Przez czas pewien prowadził również *Gazetę codzienną* i *Wolne żarty*, później (bardzo krótko) *Zorzę* a od lat dwudziestu *Przyjaciela dzieci* i wreszcie *Tygodnik młód.*

W ostatnich latach poświęcił się głównie redagowaniu *Przyjaciela dzieci*, do końca życia jednak pozostał szczerym przyjacielem ludu i wszelkie usiłowania, mające na celu krzewienie oświaty i rozwój piśmiennictwa ludowego, życzliwie popierał...

Nazwisko Gregorowicza nie zajmie zbyt wiele miejsca w literaturze, ale imię Janka z Bielca pozostanie na zawsze we wdzięcznej pamięci ludu polskiego.

— **Muzeum pszczelnicze.** Od Zarządu muzeum otrzymujemy następujący „list otwarty”:

„W kilku pismach codziennych pojawiło się w ostatnich czasach ogłoszenie p. Kazimierza Lewickiego o otwarciu szkoły pszczelniczo-ogrodniczej pod firmą: „Muzeum pszczelniczo-ogrodnicze zjednoczonych pszczelarzy i pszczelarek, pod dyrekcją K. A. Lewickiego.” Właściwe muzeum pszczelnicze, jako spółka udziałowa, założone zostało jeszcze w 1883 r. i istnieje dotychczas pod zmienioną firmą przy ulicy Koszyki N. 41 pod zarządem niżej podpisanych. Innego muzeum nie było i nie ma, nazwa zaś, nadana przez p. Lewickiego prywatnemu jego zakładowi, jest naśladownictwem i podszywaniem się pod renomowaną firmę dawnego muzeum, które prowadzi dotychczas warsztat uli i narzędzi pszczelarskich, pasieki i praktyczne nauki pszczelnictwa i ogrodnictwa.

Dla niewtajemniczonych w sprawę Zarząd u-

waża za stosowne nadmienić, że p. Lewicki był pierwotnie dyrektorem właściwego muzeum na Koszykach, niedołącznym jednak i niesumiennym prowadzeniem instytucji, przyprawił ją niemal o ruinę, wskutek czego na ogólnym zebraniu spółki w 1888 r., ze stanowiska dyrektora usunięty został.

Pozostały po nim nieuregulowane interesy i należności, które nowy zarząd przy braku wszelkich aktywów usilnymi staraniami zupełnie niemal wyrównał, zaległe pensje wypłacił, obstarunki wykonał, tak że muzeum doprowadzone zostało do stanu zadawalniającego.

Pomimo wszystkiego p. Lewicki niezaprzestał swych machinacji, wobec czego Zarząd ma honor publicznie oświadczyć że Muzeum pszczelnicze na Koszykach N. 41, nie ma żadnej absolutnie łączności z nowym muzeum p. Kazimierza Lewickiego, że utworzenie nowego zakładu wywołane zostało względami konkurencyjnymi i że obietnic p. Lewickiego, któremu najbliższa jego rodzina odmawia poczytalności, niemożna brać na seryjo. Zarząd uprasza osoby interesowane o adresowanie nadal wszelkich posyłek i korespondencyj do Muzeum pszczelniczego w Warszawie, przy ulicy Koszyki N. 41.

Edw. Chrapowiecki.
Łuszczewski. Józef Kepke.

— **Uroczystość uniwersytecka.** Na akcie który się odbył 11 września r. b, w uniwersytecie, mówcy zakomunikowali parę ciekawych cyfr i faktów, które tu podajemy. Akt zagał rektor uniwersytetu, zaznaczając, iż ministerjum oświaty wyasygnowało 400,000 rs. na budowę nowego gmachu biblioteki, mogącej pomieścić około miliona tomów. W przemowie swej mówca uczcił pamięć zmarłych pracowników uniwersytetu Barsowa, Neygebauera, Łapczyńskiego i Taczanowskiego. W dalszym ciągu profesor Czausow odczytał sprawozdanie, z którego dowiadujemy się, że do uniwersytetu w ciągu roku 1889/00 uczęszczało 1,164 studentów, a mianowicie: na wydział lekarski 579, prawny 389, fizyczno-matematyczny 143 i historyczno-filologiczny 53. Farmaceutów uczęszczało 108, wolnych słuchaczy 10-ciu. Ukończyło wydział prawny 87 studentów, lekarski 58, fizyczno-matematyczny 15-tu, historyczno-filologiczny 4-ch, farmaceutów złożyło egzamin 36-ciu. Promowano na kursa wyższe 698 studentów, nie przystępowało zaś do egzaminów 280-ciu. Za nieopłacenie wpisu uwolniono z uniwersytetu 49 studentów i 31 farmaceutów, przestało uczęszczać na kursa 48 studentów, zmarło zaś 6-ciu.

Ze stypendyjów ministerjalnych korzystało 30-tu studentów, którym udzielano stypendyja po rs. 350 dla każdego, z funduszków uniwersyteckich udzielono 14 stypendyjów na sumę rs. 2,800, z zapisów prywatnych udzielono stypendyj 164 studentom na sumę rs. 24,440. Uwolniono od opłacenia wpisu 212 studentów; zapomóg jednorazowych wydano na sumę rs. 9,393.

Widzimy ztąd, iż jakkolwiek uniwersytet dość znaczne poniósł nakłady na niezamożnych studentów, jednak około 100 studentów przestało słuchać wykładów, nie mogąc opłacić wpisu. Fakt ten może być wskazówką, dla ludzi, pragnących środki swe poświęcać sprawie społecznej.

Akt zakończył się wręczeniem medali i listów pochwalnych za rozprawy naukowe.

— **Z prasy.** W ostatnich czasach zauważyliśmy pomyślny stosunek rozwój dwóch pism pół-specjalnych *Wędrowca* i *Echa teatralno-muzycznego-artystycznego*.

Wędrowiec, starając się odpowiedzieć swej nazwie, urozmaica dział opisowo-podróżniczy i z wysokości ptasiego polotu ilustruje i odzwierciedla chwilę bieżącą na szerokiej obszarach. Nie dorównywa *Wędrowiec* tego rodzaju pismom zagranicznym, co się da wyłomaczyć technicznie warunkami pisma.

Z drugiej jednak strony, sama redakcja jeszcze nie dość poważnie rozumie swe zadanie. Sądzi, iż nie przestając być popularnym, urozmaiconym i poczytnym, *Wędrowiec* mógłby rozszerzyć cokolwiek dział krajoznawczy. Dotąd dział ten reprezentuje tylko pan Elski, je-

den z bohaterów powieści „Zwycięzcy oceanu”. Cokolwiek zamało.

Te same mniej więcej uwagi dadzą się zastosować do *Echa*; jest ono w istocie dość wiernem echem ze świata sztuki i, podobnie jak *Wędrowiec*, wykazując w swej treści umiejętne i urozmaicone przeglądanie ciekawych faktów artystycznych, zdradza jedną wadę—niedostateczne uwzględnianie swojszczyzny.

Jeżeli oba pisma zrobią jeszcze jeden krok naprzód i uwzględnią pomijaną dotąd dziedzinę, to w istocie będziemy je mogli zaliczyć do wcale udanych prób popularnego specjalizowania naszej prasy.

— **Kuchnia tania.** Mówiliśmy już o otwarciu kuchni taniej dla robotników na Solcu. Dane najnowsze stwierdzają, iż instytucja okazała się bardzo potrzebną i coraz liczniejszą zyskuje klientelę.

Obecnie podobno od samych robotników wyszedł projekt, aby kuchnia dawała im żywność na kredyt. Ma to być urządzone w ten sposób, że fabryki nabywać będą od zarządu marki i wydawać je swoim pracownikom, koszt ich stracając z zarobku.

Zarząd kuchni projekt ten przyjął i natychmiast rozesał odpowiednie odezwy do fabryk. Parę fabryk zgłosiło się już, a można się spodziewać, że i inne pójdą za tym przykładem.

Trudno przewidzieć do jakich wyników doprowadzi inowacja. Można by się spodziewać, iż będzie to znacznym udogodnieniem dla robotników, zwłaszcza jeżeli fabryki zechcą traktować tę sprawę z bardziej sprawiedliwego punktu widzenia.

Z KRAJU.

Opis Łodzi w *Gazecie radomskiej*.—Charakterystyka stosunków.—Apostrofa *Kaliszanina*.

Gazeta radomska od kilku tygodni drukuje nader ciekawe studjum o Łodzi. Dla ludzi, którzy bodaj dorywczo badali stosunki łódzkie, praca ta nie zawiera może ani nowych danych ani nowych poglądów, ale dla większości czytelników jest nader pouczającą, przedstawia bowiem w treściwy a dobitny sposób całokształt gospodarki kapitalistycznej w dziedzinie wielkiego przemysłu i wpływ jej na ludność pracującą. Z tego względu pomienione studjum z pożytkiem przeczytają ci nawet, którzy o żadnych nowych faktach nie dowiedzą się od autora.

Zresztą niektóre fakty, chociaż dosyć znane, warto byłoby zakarbować sobie w pamięci. Oto np. gdyby nasi socjologowie znali lepiej historję Łodzi, nie braliby jej za przykład, mający ilustrować ich teoretyczne wywody. Dzieje te bowiem stwierdzają właśnie wręcz przeciwnie założenia. Nędzna miścina—jeszcze w początkach tego stulecia—nie posiadała Łódź żadnych warunków naturalnych rozwoju; oddalona od głównych arterij komunikacyj, nie miała w dodatku wody, tak koniecznej dla fabryk. Ale w 1806 roku przeszła na własność rządu, który postanowił ją zrobić miastem przemysłowym, sprowadził więc z zagranicy tkaczy i sukienników, nadając im znaczne przywileje. Osadnicy nowi otrzymywali w posiadanie spore kawały gruntu, wolni byli na pewien czas od czynszów i podatków, brali darmo drzewo budulcowe z lasów, a cegłę—z cegielni rządowych, mieli bezpłatnie opał i pastwisko, wreszcie dzieci ich wolni zostali od służby wojskowej. Nie dosyć tego, przedsiębiorcy korzystali z kredytu rządowego i innych ułatwień. Tylko wskutek nadania jej tych przywilejów, Łódź zaczęła się powoli rozwijać, ale dopiero w 1825 r. powstała pierwsza większa fabryka, zatrudniająca 75 robotników przy 80 warsztatach, a tylko w 1835 r. zjawiła się pierwsza maszyna parowa. Do 1840 r. przemysł rozwijał się dosyć pomyślnie i ludność miasta doszła w tym czasie do 22,000 głów. W następnym dziesięcioleciu przemysł łódzki, wskutek ogromnego wzrostu kontrabandy, upada, a ludność zmniejsza się do 15,000. Rok 1852, jest początkiem zwrotu. Łódź posiada wtedy 4 fabryki, zatrudniające

1026 robotników, produkcja wyrobów lnianych i bawełnianych wynosi 1,744,000 rubli.

W 1844 zakłada Scheibler pierwszą swą fabrykę z kapitałem 180,000 rs; ma ona 100 warsztatów tkackich i 18,000 wrzecion. Wzrost tej fabryki odbywa się równolegle ze wzrostem miasta. W kilkanaście lat po założeniu pierwszej fabryki staje nowa przędzalnia z 40,000 wrzecion i 400 warsztatami; w r. 1870 największa w kraju fabryka wyrobów bawełnianych z 80,000 wrzecion i 1200 warsztatów, a w osiem lat później nowa przędzalnia z 54,000 wrzecion i nowa tkalnia, w której znajduje się 840 warsztatów. W r. 1881 manufaktura bawełniana Scheiblera zamieniona zostaje na Towarzystwo akcyjne, z kapitałem 9,000,000 rubli, które posiada kilka olbrzymich przędzalni i tkalni z 174,000 wrzecion i 2440 warsztatami, apreturę, drukarnię, farbiarnię, własny tartak parowy, gisernię, fabrykę gazu, własne plantacje bawełny, 6 wiorst kolei i kilkadziesiąt domów dla robotników i oficjalistów fabrycznych. W fabrykach Scheiblerowskich pracuje około 6,000 ludzi. Pierwotny kapitał przedsiębiorstwa w ciągu 27 lat powiększył się 50 razy.

Obecnie Łódź liczy około 160,000 mieszkańców różnej narodowości.

„Fabryczny charakter miasta”, powiada autor, „połączona z nim ściśle kapitalistyczna gospodarka, z całą masą swych różnorodnych przejawów, kwestyj palących i walk wewnętrznych, nadają Łodzi typową postać wielkiego centrum manufakturalnego w stylu angielskim i amerykańskim”.

Ma jednak Łódź właściwy sobie charakter, wyróżniający ją pod pewnym względem od innych wielkich ognisk przemysłu. Jest to jeżeli nie antagonizm narodowy, to zupełny brak łączności między dwiema narodowościami, z których składa się klasa pracująca. Największy procent ludności—zdaniem autora, bo dokładnych danych niema—stanowią Niemcy, potem idą Żydzi, miejscowi i rosyjscy, następnie dopiero Polacy. Resztę stanowią Czesi, Rosyjanie i t. d. Klasa fabrykantów prawie wyłącznie składa się z Niemców i Żydów; ci ostatni trzymają też w swym ręku handel.

„Proletaryjat fabryczny”, mówi dalej autor, stanowią Niemcy i Polacy z przewagą liczebną po stronie pierwszych. Łączności pomiędzy dwiema narodowościami, pomimo tak wielkiej wspólności interesów, nie ma żadnej. Omyliłby się jednak, ktoby sądził, że w łonie każdej z tych narodowości kwitnie klasowa solidarność. Prawie zupełny brak świadomości klasowej nie pozwala zejść się na gruncie interesów wspólnych. To też poważniejsze protesty zbiorowe są w Łodzi białymi krukami mimo bardzo częstych, krzyjących nadużyć panów *erów* i *manów*”.

Autor artykułu o Łodzi otrzymał już delikatną nagane od kronikarza *Prawdy* za to, że mówi o wyzysku *erów* i *manów*, a nie dodaje, iż ludzie ze słowiańskimi końcówkami nazwisk mogą również wyzyskiwać robotników. Święta prawda, ale z jakiej racji w opisie Łodzi o nich mówić, kiedy tam fabrykantami są prawie bez wyjątku Niemcy i Żydzi.

Jedno zdanie w przytoczonym powyżej ustępie wydaje mi się nietrafne, a może jest tylko niejasne. „Omyliłby się, powiada autor, ktoby sądził, że w łonie każdej z tych narodowości kwitnie klasowa solidarność”. Może nie kwitnie, ale niewątpliwie istnieje poczucie solidarności klasowej, tylko właśnie w łonie każdej narodowości i zbyt jest słabym, a raczej zbyt powikłanym z innymi czynnikami, ażeby mogło szranki te złamać i zjednoczyć ludzi „na gruncie wspólnych interesów”.

Chociaż więc, „nowe metody”, wprowadzone do wytwarzania dóbr materialnych, są głównym źródłem przewrotów i zmian w społeczeństwie” chociaż „pod ich potężnym wpływem wyłaniają się nowe warunki życia społecznego, z konieczną, niezbędną potrzebą przystosowania do nich nowych urządzeń, nowych instytucji i wogóle nowego, prawnopolitycznego ustroju”, nie należy lekceważyć czynników innych, które, jak to widzimy w Łodzi, nadają nieraz stosunkom społecznym charakter, zgoła nieodpowiedni założeniom teoretycznym.

Pozwolę sobie w dalszym ciągu przytoczyć charakterystykę stosunków łódzkich:

„Rodzaj życia, jaki pędzić muszą tysiące

ludzi w mieście fabrycznym, pod skrzydłami wielkiego kapitału, wobec ciągłej niepewności zarobkowania, braku pracy, szczupłości zarobków, bezustannej wędrówki z fabryki na bruk uliczny, tych wszystkich bolesnych następstw nadprodukcji i kryzysów ekonomicznych—daje sposobność tylko do zbydlenia i upadku”.

„Niedostatek jest nieodstępnym ich towarzyszem z całym szeregiem satelitów swoich: ciemnoty, wyuzdania i zepsucia. W takich warunkach zasady moralne nie wszczepiają się w serca ludzi, ale wyplenają, jeśli wszczepionymi były”.

„W Łodzi ludzie wychowują się od dziecka na złodziei. Kradzieże publiczne na ulicach przy transporcie i wyładowaniu towarów lub na rynkach targowych, praktykowane przez małych chłopców i wyrostków, dostarczają widowiska przechodniom”...

„Nędza, ten główny czynnik demoralizacji i upadku, jest o wiele większą w Łodzi, niż w każdym innym mieście naszego kraju. Mały zarobek tysięcy ludzi znajduje bardzo wytrwałego sprzymierzeńca w drożyznie i przeludnieniu. Przeciętą płacą robotnika fabrycznego nie przewyższa jednego rubla dziennie, co, wobec drogich mieszkań i cen produktów spożywczych, nie dozwala stopie życiowej przekroczyć stopnia niedostatku. Pijaństwo, o którego rozmiarach świadczy zdumiewająca ilość szynków i bawaryj, powiększa stokroć nędzę i upadek moralny kilkudziesięciu tysięcy ludzi”.

„W ścisłym związku z ubóstwem klas roboczych pozostaje także deprawacja i rozprzężenie obyczajów. Wynik to naturalny anormalnych warunków, jakie dzisiejszy przemysł fabryczny stwarza w stosunkach zarobkującej rodziny, wkładając ciężar utrzymania przeważnie na wątłe barki kobiet i dzieci”.

„Taniość rąk roboczych żeńskich, odbijając się w koniecznym następstwie na położeniu materialnym rodziny, przyczynia się pośrednio do jej rozkładu, targa jej węzły, niweczy pojęcia i podkopuje podstawy moralne. Jaskrawym dowodem tego coraz większe przerzadzanie się wśród klas pracujących małżeństw prawnych; miejsce ich zajmuje rozpusta lub związek na wiare, nie wymagający kosztów i nie wkładający na barki biedaków ciężarów i obowiązków nierozzerwalności prawnej”.

Nie mając zamiaru uprawniać tego, co jest złem, tłumaczy się autor i, nazywając zło po imieniu, chce on tylko wejrzeć głębiej w przyczyny.

Wielkie ogniska przemysłowe, stwarzając obok prądów rozkładowych nowe formy życia, „dostarczają zarówno sferom rządzącym, jak i badaczom stosunków społecznych, zarówno ekonomistom, jak i prawodawcy obszernego pola do ścisłej obserwacji i poważnych studyjów”.

„Łódź—to typowe miasto fabryczne, którego stosunki społeczne przedstawiają wszystkie konsekwencje kapitalistycznej gospodarki—jest najlepszym dowodem destrukcyjnego wpływu „maszyn”—tej charakterystycznej przedstawicielki wielkiego przemysłu. Wobec względnie wysokiego stopnia moralności w sferach zamkniętych, gdzie w zasadzie istniejący handel małżeński pozornie nie odróżnia się od ideału rodziny—wśród klas pracujących, podległych w zupełności wpływowi nowych warunków ekonomicznych, moralność stara i jej urzędzenia społeczne straciły grunt pod nogami, a rozpusta i wyuzdanie z całą grozą zapanowują w stosunkach ludzkich. Idący z tem w parze upadek zdrowotności mas, przerażający cyframi wzrostu chorób zakaźnych w Łodzi, któremu ani urządzenia sanitarne i rewizyjne, ani dbałość dozoru zapobiedz nie mogą—smutne rodzi przypuszczenie o przyszłości naszego miasta. I wnikańszy w przyczyny tego smutnego zjawiska, powiedzieć musimy, że dopóki pieniądz, niedopłacony za pracę, powraca po robotnicy z rąk kapitalisty w formie zapłaty za część utraconą—żadne środki zaradcze nie są w stanie przeciwdziałać i zapobiedz coraz więcej wzrastającemu złemu”...

Wobec tego obrazu upodlenia i nędzy ludzkiej, jakie śmiesznie wygląda sentymentalna apoteoza *Kaliszanina* do „ludzi!”

„W tych dniach w miejscowym szlachtuzie zdarzył się grozą przejmujący wypadek”.

„Dwóch czeladników rzeźniczych, niedobite-

go zupełnie wieprza wrzuciło do kotła z ukropem”.

„Nieszczęsne zwierzę, oduczone bólem, miało się po kotle tak silnie, że wyrzuciło masy waru, zanim żywcem zostało ugotowane”.

„Dwaj ci szakale, oddani podobno zostali pod sąd, który bezwątpienia surowo barbarzyńców skarże,—szlachtuzowy ten dramat jednakże nasuwa smutne refleksje, że w Kaliszu, pozbawionym kolejowej komunikacji, gdzie ruch kołowy daleko jest większy, jak w innych tego rzędu miastach, członków Towarzystwa opieki nad zwierzętami niema zupełnie, i nikt w tym kierunku działać nie myśli”.

Istotnie, jakie to smutne!

J. Nieborski.

Listy ze wsi.

I.

Gleba proszowska. Jarmark. Żyd—pośrednik. Mieszkańcy nadbrzeżni. Nowe pokolenie.

Z bogatą, a szczególnie żyzną ziemią jest to samo co z pełnym zdrowia organizmem: nosi w sobie zarodek dzielności i piękna. Gdyby nie to bogactwo ziemi krakowskiej, które L. Gołębiowski, a za nim Baliński zcharakteryzował w wykrzyku: „to nasze Peru, to nasz Meksyk!”, może w historii nie miała by ona tej przewagi nad innymi prowincjami. Siła życiodajna, pulsująca w każdym calu żyznej ziemi, dodaje jej tyle piękna, że podoba się nam w swej nagocie, nie osłonięta lasami, nie ustrojona w skały i wody. Ma to właśnie do siebie i okolica Koszyc, niegdys do proszowskiego powiatu należąca, że choć niebogata w krajobrazy, a jednak pociąga ku sobie życiem, w glebie ukrytem. Jak widok jałowców i wydm piaszczystych na Podlasiu pognębiające sprawia wrażenie, tak znowu tutaj, nieodznaczające się zbyt różnorodnością dla oka, wzgórze, pokryte pszenicą, zdają się być pełnymi wdzięku i napełniając humorem. Miejscowość ta, wzniesiona na grzbiecie dzielącym dolinę Szreniawy od Wisły, góruje znacznie nad płaską Galicyją. Z wysokiego brzegu Wisły widać ją daleko na mil kilkanaście z miasteczkami i wsiami, oblamowaną na dalekim horyzoncie Karpatami, ginącymi dla oka w niebieskawej mgle oddalenia.

Opanował tutaj człowiek ziemię doszczętnie; niemal każda jej stopa technie dla niego obietnicą plonu. Ogołocił ją z lasów i wogóle z drzew; prócz sadów, tylko wierzbie przyznał prawo bytu. Drzewo to, w gruncie brzydkie, nadaje bezlesnym okolicom właściwy charakter. Na drogach, w powyrywanych potokami rozdołach, na łąkach—wszędzie, gdzie zboże nie rośnie, wznosi się wierzba. Skromna, niewybredna, pozwala obdzierać się bez litości, i dla człowieka, który wie, ile potrzeb ludzkich ona zaspakaja, wydaje się wierzba sympatyczną, nawet piękną.

Ludzie, którzy się tu roli oddają, mieszkają po „dworach” i chatach, rozrzuconych tu i owdzie sznurami. Prawie każdej wiosce odpowiada dwór; a gdyby spojrzeć z góry, koło jednego dworu więcej leży ziemi pod łąkami pszenicy i buraków, niż chłopskich pól koło całego szeregu chałup. Kiedy teraz chce sobie uprzytomnić tę okolicę, słysze, jak gdzieś z za wzdórzeza dolatuje trajkotanie żniwiarki, a na drodze w chmurze pyłu pędzi czterokonna fornalka z górą snopków na wozie.

Takie ogólne wrażenie robi ta miejscowość—z lotu ptaka, ale żeby choć w ten sposób zapoznać się z mieszkańcami i wytworzyć sobie pojęcie bodaj o ich zewnętrznym wyglądzie, najlepiej udać się na jarmark do miasteczka. Tam zobaczysz ich w masie, zobaczysz wszystkie typy: od szlachcica, przeciskającego się przez tłumy w czterokonnym powozie, do baby wiejskiej, którą do miasta przyciągnęło na sznurku prosię. Co za kontrast ze zbiorowiskiem ludzi na Podlasiu, dajmy na to, w Łukowie! Tam—na targu cisza, szarość, brak ruchu; ludzie snują się po rynku smutni i niemrawi, a kiedy rozmawiają, to tak płacząliwie, jakby się skarżyli na skąpą ziemię, która ich głodzi. Tutaj—z tłoku ludzi biją w słońcu barwy zdecydowane, jaskrawe. Rumięcem młodych kobiet walczą o lepsze, z czerwonością kaftanów i chustek na głowie, od ubrań kobiecych odrzynają się białe sukma-

ny chłopów. Twarze czerstwe, dorodne, rozpromienione; każdy rad, że jest na jarmarku, czuje się tu, jak na zabawie. Warto porównać mnie podlasiaka, wjeżdżającego do miasta na filigranowym wózku, zaprzężonym w jednego konia w hołoblach, z tą miną, z jaką zajeżdża na rynek chłop tutejszy. Konie, zaprzężone do dużego krakowskiego wozu z półkoszkami, zda się ze skóry chcą wyskoczyć, a stary chłop, biało ubrany, w kapeluszu, z pod którego zwieszają się pukle siwych włosów, barczysty, z piękną, dziwnie pogodną twarzą, siedzi, jak wryty, na wozie, rad widocznie z tłumów, które przed nim się rozbiegają. Zauważyłem, iż jarmark jest dla ludu miejscem neutralnym, na którym on przede wszystkim czuje się jak u siebie. Miłego doznałem wrażenia, jak ten sam lud, który gdzieś indziej z niepotrzebnym czapkowaniem i niewiarą rozmawia z surdutowcem, tutaj za pan brat i wesoło z każdym obcuje. Koło straganów, gdzie chciałem nabyć parę przedmiotów do naszego Muzeum etnograficznego, kobiety dowcipkowały wesoło i z uprzejmością dopomagały mi w kupnie.

W rynku widnieje szyld: „cukiernia.” Jest to właściwie szynk, lecz gospodarz, żyd z pańską miną, w binoklach na nosie i w złotym łańcuchu na wydatnym brzuszku, prowadzi do dalszych komnat, tłumacząc, że tam jest miejsce dla gości. Zdaje mi się, że słyszałem zdanie: „pokażcie mi swego żyda, ja wam powiem, coście za jedni.” Dla tego właśnie mówię o tym panu, bo po pasorzytce można nieraz poznać naturę opianowanego przezeń organizmu. Nawet nie wychodząc po za obręb wsi i miasteczek, mamy kilka odmiennych od siebie typów żydowskich: inaczej przedstawia się przecie drobny przekupień wiejski niż kupiec lesny, kupiec zbożowy lub dostawca, przedsiębiorca robót publicznych. Ten, o którym mówię, „żył szlachtą”, pośredniczył w kupnie majątków. Taki bierze za pomoc tysiące, jest bogaty. Jednego ratuje z kłopotów—to go rozzuchwala i spoufała; drugiego wciąga do interesu—tego pokonywa łgarstwem, pochlebstwami i natręctwem. Pośrednik taki posiada wiele sprytu, a jeszcze więcej znajomości natury szlacheckich. Stara się mówić językiem wykwińczym, tonem protekcyjno-koleżeńskim. Mój towarzysz, młody obywatel, był przedmiotem jego uwagi i pochlebstw. Skarżył się na żonę, że, pragnąc koniecznie czems się zająć, uparła się przy założeniu tej cukierni. „Chce, niech sobie ma tę zabawkę”—mówił. Myślał o cukierni dla obywateli, tymczasem oni tak zbieźnieli, że piją bardzo mało; więc bilard, który był nabył, sprzedał i do komnat, dla dostojnych gości przeznaczonych, był zmuszony wpuścić chłopów. Nie można powiedzieć, żeby źle dawali targować; piją nawet wino, zamknawszy się na kilka godzin, ale zawsze to „chamy.” Wyrzecz ten wymawiał z najwyższą pogardą, licząc na to, że ją, rozumie się, podzielamy. Gdy to mówił, jeden z chłopów, siedzących przy piwie w drugim pokoju, uderzył gwałtownie w stojący na stole dzwonek sprężynowy, przyczem rozległ się rozkazujący głos: kelner! (wpływ Galicyi).

— Słyszają panowie? Taki chamcio... kelner!.. — rzekł gospodarz ze zjadliwym uśmiechem, jednakże co żywo pobiegł ku chłopom. Na odgłos dzwonka drugimi drzwiami wpadł bosy żydziak i chwycił za kufle.

Skarżył się żyd następnie na to, że go zarzucają interesami. I teraz pisało do niego dwóch obywateli z płockiego; ale on nie myśli już pracować, czuje potrzebę odpoczynku. Gadatliwie opowiadał nie pytany, chcąc nas bawić zapewne, o tajemnicach okolicznych dworów. O dwóch gospodarzach, których miał w swej opiece, wyraził się w ten sposób:

— Co to znaczy, panie...ski! Jemu w tym roku się udało, urodzi mu się na przyszły rok, a na trzeci swoją drogą dyjabli go wezmą. Co innego tamten: jemu się teraz noga popsęła, ale on sobie poradzi, to — gospodarz. Już ja wolę z nim mieć do czynienia. Jak ja siadam na kiepską szkape, a ona mi idzie ostro, to ja aż drzę: no, myślę, ona mi idzie, ale jak się raz potknie, to ja kark skręczę; ale jak ja siedzę na dobrym koniu, a on mi się potknie raz i drugi, to ja myślę: wypadek, potknął się, ale ja wiem, że on dalej pójdzie ostro i krzywdy mi nie zrobi. To samo panie z nimi, już ja ich znam!

Kiedy po tym wykładzie jazdy na szlachcie zbieraliśmy się do wyjścia, pieniądze za piwo brał niedbale, robiąc pozór, że może ich wcale nie brać, i, wskazując na chłopstwo, mrugnął znacząco okiem:

— My dzisiaj ich oskubiemy... szepnął—śmiejąc się cynicznie.

Żyd tutejszy zapuścił korzenie przeważnie we dworze. Wśród włościan i mieszczan, zaludniających dotąd tutejsze miasteczka, niema wprost miejsca na żydów. Wogóle można zauważyć, że u nas w miejscowościach, gdzie ludność posiada trwalsze podstawy bytu bądź w żyznej ziemi, bądź w przemyśle, żydzi nie mogą się rozplenić tak szybko, jak w miejscowościach biednych. Szukają przede wszystkim organizmów słabych. Tutaj mają grunt podatny jedynie w gospodarstwach większych, bo te, oddalone od ognisk handlowych, przy braku wszelkiej organizacji środków wymiany, czekają z całą swoją produkcją na tych pośredników. Właściwie na nich i czekać nie trzeba, bo oni sami po żniwach pierwsi stają przy młockarni. Oni udzielają kredytu, nie żądając wzamian gotówki, biorą na swe głowy wszelkie kłopoty wymiany, oni stanowią dla dworów gazetę bieżącego życia, oni pocieszają szlachcica w kłopotach—pochlebstwami. Żyd szlachcicowi jest tak potrzebny, że gdyby go nie było, należałoby go wymyśleć.

Co do chłopów, a o nich głównie pisać zamierzam, muszę zaznaczyć, że wino, a nawet piwo nie jest ich stałym napitkiem. „Cukiernia” ogląda w swych ścianach przeważnie nieliczne jednostki z paru bogatszych wiosek z nad Szreniawy. Naogół nie stać ich na zbytki. Mięsa nie jadają; jedzą chleb żytni razowy i kartofle. Nawet w tej glebie ich małe gospodarstwa nie pozwalają na uprawę pszenicy.

Miałem sposobność poznawać chłopów nad brzegiem Wisły. Wioski patrzają oknami chat daleko na Karpaty, a ich sady śliwkowe docierają nieraz do samej rzeki. Nasz brzeg jest tutaj nadzwyczaj wysoki. Wznosi się nad wodą urwistą ścianą, niekiedy z poziomem rzeki ostry kąt tworzącą. Gliniane urwiska, przez lud skałami zwane, podczas suszy twarde są rzeczywiście, jak skała. Wisła podrywa brzeg u dołu, woda w czasie roztopów lub deszczów oblamuje go od góry. Rzeka, jak kot, zdradziecko się łasi, ocierając się o ład coraz serdeczniej, i ludzom ziemię z pod nóg wydziera. Maleją sady nadbrzeżne, ludzie, odsuwają stodoły coraz dalej od brzegu, a ziemi powstrzymać nie mogą i coraz całe płaty niedawno uprawianej ziemi, giną bezpowrotnie w nurtach rzeki. Wiele chat za dziadów obecnego pokolenia stało tam, gdzie obecnie jest środek koryta; od tego czasu nie jedna morga zginęła pod wodą. Chętnie budowali by tamy, gdyby to było możebne ze względu na prawo międzynarodowe. Władze austriackie bacznie śledzą, by chłop nawet w kliny na brzegu nie zasadził.

W jednym z sadów nadbrzeżnych poznałem 15-letniego chłopca. Miły, o sprytniej, można powiedzieć, inteligentnej twarzy podrostek, rozprawiał z miną dojrzałego człowieka o kłopotach majątkowych rodziców i widokach własnych na przyszłość. Mają wszystkiego cztery morgi gruntu; z tych działek na dwóch ma dożywocie, a jest ich wszystkich w chacie pięć cioro.

„Zabiorę się i pójdę w świat — mówił — Co ja tu będę robił? Najmować się za 15 kop. albo za 10 kop. do dworu!” Cztery lata chodził do szkoły. Gdyby ojciec miał więcej gruntu, a posłał go do szkoły w Miechowie lub Kielcach, „najął by się na nauczyciela albo na pisarza do kogo”.

— A księdzem chciałbyś zostać? — spytałem.

— Nie chciałbym?—odrzekł zdziwiony. Tylko to duży koszt. Żeby ojciec miał z 18 mórg, to co innego.

Pójdzie do Dąbrowy. Tam zarabiają 60 kop., a nawet rubla dziennie. Weźmie paszport na rok, później odnowi, a do domu nie wróci. Rozmowa zesłała potrochu na uprawiane tutaj do niedawna przemytnictwo. Poważna twarz chłopca zmieniła się w jednej chwili, oczy zagorzały blaskiem, kiedy począł opowiadać o własnych przygodach. Zapalał się coraz bardziej, kpił z tchórzów, szczególnie z kobiet. Zdarzyło się, że baba, usłyszawszy strzał, padła ze strachu

na lód i nie mogła się ruszyć; dopiero chłopcy przybiegli i wynieśli ją za Wisłę. Szwarcuje zawsze żyd, ale sam nie przenosi, bosię boi; posługuje się zaś chłopami. Sam stoi na „skałach” i dygocze ze strachu...

W. Głuchowski.

Przegląd społeczny.

Suwałki. (Kor. „Głosu”). Między korespondencyjami w pismach warszawskich zdarzało mi się spotykać głosy z różnych stron świata i kraju, lecz nigdzie nie znalazłem korespondencyj z Suwałk. Być może, że położenie geograficzne naszej gubernii, oddalenie jej od Warszawy, tego centrum ruchu umysłowego w naszym kraju, brak kolejowej komunikacji (najbliższa stacja kolejowa Grajewo leży o 10 mil od Suwałk), być może, powiadam, że te warunki wpływają na naszą sennosc i, trzymając nas zdaleka od ruchu cywilizacyjnego, pogrążają nas w tak pożądanym dla wszystkich, a w skutkach swych zgubnym spokoju. Jak wszędzie, tak też i u nas na sposób życia składają się rozmaite warunki... — Gubernia nasza graniczy od zachodu na przestrzeni 170 wiorst z Prusami, od północy z gubernią kowieńską, od wschodu z wileńską i grodzieńską, od południa zaś z grodzieńską i łomżyńską. Granice te wskazałem unyślnie, żeby łatwiej wytłumaczyć skład etniczny naszej gubernii, która, leżąc pośrodku trzech narodowości: litwinów, Niemców i białorusinów, stanowi pod względem lingwistycznym oryginalną mieszaninę języków. Mieszanina ta najwięcej czuć się daje inteligencji w Suwałkach, jeżeli ta, mając z powodu swych zajęć bliższe stosunki z ludem wiejskim, nie zna litewskiego ani białoruskiego języka. Wśród ludności naszej gubernii najwięcej znajduje się litwinów, drugie miejsce zajmują polacy (mazury), wreszcie białorusini. Pierwsi stanowią ludność północnych powiatów (władysławowski, maryjampolski, wołkowycki, kalwaryjski i część sejneńskiego), drudzy zamieszkują przeważnie powiaty: augustowski, sejneński i suwalski i stanowią przeważny element w miastach; białorusini zamieszkują wschodnią połowę powiatu augustowskiego. Oprócz tego do składu ludności należą: żydzi, Niemcy i w niewielkiej ilości tatarzy i cyganie. Ogólna przestrzeń suwalskiej gubernii wynosi 10,416 wiorst kw. Połowa tej przestrzeni zajęta jest pod uprawę roli, z drugiej 2/3 zajmują lasy i 1/3 wody. Stosownie do rodzaju gleby wogóle niebogatej w produkty naturalne, gubernię suwalską można rozdzielić na dwie połowy: północną i południową. W pierwszej mamy czarnoziem, druga z gruntem wapiennym i piaszczysto-kamiennistym, usianym wzgórkami, bogatą jest w lasy i ogromne jeziora, których północna posiada bardzo mało. Wtąd i różnorodność zajęć, różnica w opale i jedzeniu. W powiatach północnych ludność zajmuje się przeważnie uprawą roli, chaty opala torfem i żywi się chlebem, mięsem i jarzynami; w powiatach zaś południowych ważną rolę w gospodarstwie stanowi rybołówstwo, wyrabianie smoły, oraz spalanie drzewa kanałem augustowskim. Tu mają podostatkiem drzewa, żywią się zaś chlebem, kartoflami i drobną rybą, gdyż duża idzie na sprzedaż do miast, mięsa natomiast używają bardzo mało. Głównym zajęciem mieszkańców gubernii jest gospodarstwo rolne, o którym słów kilka powiem w następującym liście. *St. St.*

Będzin. (Kor. „Głosu”). Służba gospodarza w różnych stronach kraju porzuca swe miejsca od dnia św. Szczepana, albo też od Nowego Roku, stosownie do okolicy. Od tego ogólnego prawidła nie znam wyjątków. Jednakże pod Będzinem spotyka się pewną osobliwość. Oto służba męzka odchodzi od św. Szczepana, dziewczki zaś dopiero od Nowego Roku. Mówiono mi, że dziewczki służą dłużej, aby w ten sposób wynagrodzić za garnki, jakie potłukły w czasie swej służby. *A. Mik.*

Kutno. Donoszą do *Kur. warsz.*, że właściciel folwarku we wsi S., pod Kutnem, Niemiec Treskow, kontrolując roboty w polu, spostrzegł, że jeden z robotników nie wykonywa czynności tak, jakby należało. Zapytany o powód, robotnik tłumaczył się rozkazem rządcy. Wówczas T. zwrócił się do rządcy i uderzył go szpicrutą. Ten ostatni nie pozostał dłużnym i w okamgnieniu wymierzył T. silny policzek, poczem popędził wprost do swego mieszkania, gdzie kazał żonie pakować rzeczy do wyjazdu. Wystraszona tem kilkoletnie dziecko wniosło się od płaczu, a ojciec wziął je na ręce, chcąc uspokoić. W chwili, kiedy rządcą chodził po pokoju z dzieckiem, wpadł p. T. z dubeltówką i strzelił. Rządcą nie poniósł szwanku, dziecko jednak zostało zranione niebezpiecznie. Rozpoczęła się walka między rządcą i T., z której ten ostatni wyszedł silnie poturbowany.

Z CESARSTWA.

Bielsk, gub. Grodzieńska. (Kor. „Głosu”). Powiat nasz do dzisiejszego dnia nie posiadał ani jednej drogi

bitej. Dopiero w bieżącym miesiącu została ukończoną taka droga z Wysokiego litewskiego przez Drohiczyn do Sokolowa (stacyja kolei małkińskiej-siedleckiej); buduje się również linija od Bielska przez Brańsk do Szepietowa; w roku zaś przyszłym ma być rozpoczęta budowa szosy od Drohiczyzna do Ciechanowca dla połączenia z istniejącą już szosą z Ciechanowca do Czyżewa. Ludność nasza miejscowa zarabia głównie przy zwózce kamieni (za furę wypada 10 — 20 kop.), piasku, mchu, drzewa itp. Do robót zaś ziemnych (kopania rowów, tłuczenia kamieni, brukowania, stawiania mostów) przedsiębiorca sprowadza włościan ruskich, przeważnie z gubernii kostromskiej, jarosławskiej, twerskiej i smoleńskiej — ci zarabiają 20 — 25 rs. miesięcznie i mają mieszkanie i życie od przed siębiorcy. Przy budowie drogi wysoko-sokolowskiej pracowało ich 300, było także około 20 mazurek z pod Łomży i nieco żydów z Siedlec (do brukowania). Do szosy białko-szepietowskiej używano w r. z. żołnierzy, obecnie pracują i tam włościanie ruscy. — Tego lata powiat nasz obfituje w pożary: w kilkunastu wsiach paliło się bądź od pioruna, bądź z „niewiadomych” przyczyn. W lipcu spaliło się 12 domów w Siemiatyczach, zgorzały również prawie całe Boćki. Siemiatyccy żydzi byli prawie bez wyjątku ubezpieczeni, więc już się odbudowują, to o wiele okazalej: na miejscu parterowych stawiają piętrowe kamieniczki. Wielką pomoc w tym razie okazały pogorzelcom zwaliska pałacu właścicielki Siemiatycz, p. Fenshawe. Był tu pałac tylko ko wykończony, gdy go zaskoczyła katastrofa, więc pomimo ubiegłych już lat 27-miu, podczas których na murach powyrastały w wielu miejscach drzewa, ściany i kominy trzymały się mocno. Otóż po pożarze żydek pewien nabył od dworu 50,000 cegieł z tych zwalisk, placąc po 7 rubli za tysiąc, prócz tego inni nabywali kamienie i cegłę — i rozpoczęło się na dobre burzenie ostateczne stajni, budynków dla służby i bocznych skrzydeł pałacu. Żydkiwie, jako z natury „delikatni”, do tej roboty się nie brali, pracowali więc „goje”. Przed kilku dniami jeden z „burzycieli” wlaźł na komin (dymnik) i burzył go od góry, drugiemu zaś przyszło do głowy burzyć ten sam komin z dołu. Jak łatwo było przewidzieć, komin runął jeszcze wcześniej, niż się spodziewano. Tymczasem cegły, rozsypując się, przysgniotły tego, co pracował na dole, i zabiły go na miejscu ten zaś, co siedział na wierzchu, spadając, zaczął się o drzewo i przez to ocalał, ale ma złamaną prawą rękę. Tu już winna nie „własna nieostrożność”, ale nieumiejętność. Zmarły wyrobnik pozostawił żonę i troje drobnych dzieci. Gdy już mi wypadło zacząć o Siemiatycze, muszę wam donieść, że proboszcz siemiatycki, ks. Czyż, nie stawiał się powtórnie na sąd (patrz N. 30 „Głosu” z r. b.) z mieszczaninem Baryszewiczem, owszem darował mu nawet winę, wskutek czego sąd skazał B. tylko na 10 rs. kary. Z tem wszystkim z 13-tu gobelinów dwa tylko powróciło do skarba, o 11-tu zaś nie wiadomo dobrze, gdzie się podziały, czy je sprzedano komu i za ile, czy też zamieniono na wycieczajny dywan francuski, obecnie pokazywany w kościele. Proboszcz obecnie wyjechał na dwa tygodnie do Wilna. Ujęty zaś na sprzedawaniu rzeczy kościelnych w Warszawie były organista B., aresztowany tamże i odstawiony do Siemiatycz etapem, został wzięty przez proboszcza na porękę i mieszka w klasztorze; sprawa zaś jego znajduje się u sędziego śledczego. — W Ciechanowcu przed miesiącem został otwarty jedyny nietylko tam, ale nawet w całym powiecie z wyjątkiem Bielska, sklep chrześcijański. W Bielsku istnieje sklep towarów kolonialnych braci Murawijewów, także sklep p. Dzierżka, sklep z obuwiem p. Promilickiego, oraz cukiernia, piekarnia i restauracja. Sklep taki spożywczy istniał w Ciechanowcu przez lat sześć czy siedem, prowadzony przez p. Moczulskiego i pomimo, iż p. M. był człowiekiem niefachowym i niezasobnym, szło mu z początku wcale dobrze. Dopiero nieopatrznie udzielony kredyt, zadarcie z księżmi, a głównie „pańskie” i pogardliwe traktowanie kupujących włościan i drobnej szlachty doprowadziły p. M. do znacznych strat i zamknięcia interesu. Nowonabywca p. Prószyński (brat redaktora „Gazety świętecznej”) posiada wszelkie dane po temu, że przetrzyma konkurencyję żydowską i nie upadnie; sklep został znacznie rozszerzony, zaopatrzone obficie nietylko w towar spożywczy ale i w galanteryjny, to też odbył ma nadspodziewanie wielki. Na tem polu dziewczęciem wszystko jest u nas jeszcze do zrobienia. *Sta. Sw.*

Żytomierz. (Kor. „Głosu”). Tak zwany sezon pożarowy ma się już ku końcowi. Hiobowe wieści klęsk ognioowych dopomogły pismom zapełniać szpalty w zwykłej porze ogórków, a sentencje i morały, wypowiedziane przy tej okazji, wywarły chyba ten tylko skutek, że przyszłoroczni sprawozdawcy będą mieli gotowe *articles de saison* na przyszłą porę może mniejszych nieco upałów lecz z pewnością nie mniej licznych pożarów. Mam pod ręką sprawozdanie z liczby wypadków ogniowych, jakie miały miejsce na Wołyniu w 1888 r. zamiast więc moralów przesyłać mniej więcej do prawdy zbliżone — cyfry. W sprawa-

wzdawczym roku w całej gubernii było 1088 pożarów, spaliło się 3,837 budynków, a szkody materyjalne wyniosły poważną sumę 2,007,323 rubli. Z tego na miasta wypada — 65 pożarów, 149 spalonych budynków i 334,586 rubli strat, a na wsie 1,023 pożary, 3,688 zgliszcz i 1,672,737 rubli szkody materyjalnej. Przyczyny ognia były następujące: 92 wypadki od pioruna, 150 wskutek złego urządzenia komina i pieców, 204 od podpalenia, 242 z nieostrożności i 400 z przyczyn innych. W miastach od pioruna nie zgorzał ani jeden budynek, natomiast złe piece i kominy spowodowały wypadków 16, nieostrożność — 12, podpalenie — 12, oraz inne przyczyny — 25. *E. Pakosz.*

Petersburg. Wartość wywiezionych towarów z państwa rosyjskiego w pierwszym półroczu r. b. zmniejszyła się w porównaniu z odpowiednim przeciągiem czasu r. z. o 40,7 mil. rs., czyli o 11,6%. Przywóz zaś zmniejszył się w swej wartości o 20,9 mil., czyli o 10,5%. Ta zmiana bilansu handlowego objaśnia się zwyżką kursu, ułatwiającego sprowadzanie towarów zagranicznych, i zmniejszeniem wywozu zboża. Pszenioy wywieziono o 10 mil. pudów mniej niż w r. z., owsa o 13, żyta o 6½. Ogromnie się zmniejszył wywóz mączki cukrowej, z 11 mil. rs. do 81 tys. — Ministerjum opracowuje obecnie ostateczne przepisy o adwokatach. Dzienniki donoszą, że ma być ogłoszony t. zw. komplet adwokacki, polegający na tem, że, jeżeli w okręgu sądowym liczba adwokatów uznana zostanie za dostateczną, wówczas wzbronioną będzie praktyka t. zw. adwokatów prywatnym. — Dzienniki interesują się przebiegiem agitacji wyborczej w Finlandyi. W kraiku tym stronnictwo fińskie ma większość w stanach: chłopskim i duchownym, szwedzkie zaś w dwóch pozostałych: szlacheckim i miejskim. Obecnie finowie rozpoczynają agitację dla zdobycia jak największej ilości posłów ze stanu miejskiego. Proponowany kompromis stronnictw nie doszedł do skutku. — Od dnia 1 lipca roku przyszłego marki pocztowe fińskie zostaną zamienione przez ogólnopństwowe, 5-kopiejkowe w obrębie Finlandyi i 7-kopiejkowe do Rosyi i zagranicę. — Bank państwa zamierza utworzyć wydział asekuracji pożyczek premjowych, jednocześnie operacja ta ma być bankierom wzbronioną. Ponieważ bank niema zamiaru ciągnięcia ztąd zysków, asekuracja więc obniży się prawdopodobnie do 40 kop.

Z ZAGRANICY.

Kraków. (Kor. „Głosu”). Echo zajęcia z porucznikiem Zakrzewskim w Kulparkowie, któremu, jak słusznie pisano wam ze Lwowa, tym razem niepotrzebnie pewne interesowane sfery usiłowały nadać charakter skandaliczny, rozbrzmiewa po całym kraju, ba, nawet po za jego granicami. Ten fakt właśnie zniewala mnie, acz referuję sprawę zachodniej Galicyi, poruszyć choć pobieżnie kwestyję rzekomych „barbarzyństw” kulparkowskich, gdyż rozdepto ją do niesłychanych rozmiarów i zaopatrzone wcale niefortunnymi komentarzami. Nie należy do tych, którzy, reprezentując słodki oportunizm w dziennikarstwie, widzą jeno dodatnie strony w społeczeństwie a nad ujemnymi przechodzą do porządku dziennego, żeby nie smucić swych czytelników. Przeciwnie, choć może wygodnie brudy prać we własnym domu, to lepiej i pożyteczniej wywlekać je na „forum”, bo piętnując złe, daje się możliwość naprawy i polepszenia. Kulparkowowi można wiele zarzucić. Dzieją się tam często mniejsze lub większe nieprawidłowości, których płazem puścić nie radziłbym, ale co do znanego już czytelnikom „Głosu”, faktu z p. Zakrzewskim, wszystkie, pisma warszawskie, z wyjątkiem „Słowa” i „Głosu”, były tendencyjnie informowane. Komunikat wydziału krajowego, może zbyt ogólnikowo, ale zawsze na podstawie niezbitych faktów uspokoił ogół. Nadużył się ani dyrekcya zakładu ani lekarze nie dopuścili, aplikowano względem chorego przepisane środki, a jeśli por. Zakrzewski cierpiący jedynie na maniję pisywania listów do wybitnych osobistości, uznany został za nieszkodliwego (szal miał go opanowywać tylko w szpitalu), to dziwić się należy raczej rodzinie i władzom wojskowym, które nakazały trzymać nieszczęśliwego w szpitalu. Tam stał się niebezpieczny, więc go odseparowano i odpowiednio leczono. To proste i logiczne. Budżet galicyjski aż jęczy od deficytu, wynoszącego 4,341,774 złr., czyli o 179,759 złr. więcej, niż roku zeszłego (sam szkolny niedobór wynosi milijon), do wielu szkół, jak np. seminarjów żeńskich nie przyjmują dla braku miejsc, a sejmowi utrudniają zadanie, bo przed 14 października zebrać mu się nie wolno, a już 18 listopada stanie parlamentowi na przeszkodzie rada państwa. — Urzędowa gazeta zamieściła już nominacyje p. M. Borbrzyńskiego, a półurzędowe dzienniki opancerzyły p. wiceprezydenta takimi komplementami, że głosi mniej lub więcej nieprzychylnie nowemu kierownikowi magistratury szkolnej dotknąć go już głęboko nie mogą. — Do procesów mamy stanowcze szczęście. Nie w głośnych Wadowicach, ale w Rzeszowie, gdzie dziś obradują leśnicy galicyjscy

rozpoczęła się rozprawa przeciw Maciejowi Markowiczowi, b. naczelnikowi urzędu cłowego w Chwałowicach i 18 spółnikom o nadużycia cłowe na wielką skalę. Na czele kontrabandzystów stoi krakowski żyd, niejaki Weidling. Proces potrwa z 4 tygodnie, świadków wezwano 130. Wchodzi tu w grę malwersacyje przy przesyłkach kawy, herbaty i cukru z Królestwa Polskiego. — Dewotki krakowskie zwołały wiec, z powodu wypadku, który zranił je boleśnie. Oto, jeden z kawiarzy, uzyskawszy w sądzie miejskim seperacyję od stołu i łoża ze swą dotychczasową połowicą, zażądał od prezydenta miasta udzielenia mu ślubu cywilnego na przeciąg lat trzech (?) ze służącą Maryjaną Z. Prezydent Szlachowski dotąd nie dał stanowczej odpowiedzi kochającej się parze, ponieważ ewentualnie rzucana kamieniem wszystkie bractwa miłosierne i gorliwe siostrzyczki, pragnące zbawienia dusz afrykańskich murzynów. Przyczynę to w każdym razie do naszej obcyżowości. — Tutejszy zakład gazowy wprowadził praktyczną i dla dobra robotników korzystną reformę, a mianowicie przeniósł termin wypłaty z soboty na dzień, poprzedzający targ, aby w ten sposób ułatwić pracującym nabywanie niezbędnych artykułów żywności, a tem samem przeszkodzić nadmiernemu używaniu trunków w niedziele. — Z powodu niezbyt wielkiej czujności posterunków żandarmerji po wsiach epigonowie oświęcimskich agentów grasują tam w najlepsze między włościanami. U nas w Krakowie policyja zwraca do miejsc przynależności tylko tych wychodźców, którzy nie mogą wykazać się odpowiednimi funduszami i legitymacyjami, inni nie doznają żadnych przeszkód w emigrowaniu. Mimo to zatrzymały tutejsze organy w ubiegłym miesiącu 80 emigrantów, w tej liczbie 13-tu popisowych. — Wykłady uniwersyteckie na wszystkich fakultetach (a więc i rolniczym) rozpoczęła się 8 października. Na wydziale teologicznym wykład będzie ks. Pawliki: „Filozofja ojców kościoła”, oraz „Logika i dyjalektyka”, ks. Morawski: „O Bogu jednym”, ks. Chotkowski: „Historya literatury kościelnej w IV wieku”. Na wydziale prawnym: dr. Krzymuski: „Nauka o więzieniach”, dr. Klanowski: „Historya inkwizycji w wiekach średnich”. Na filozoficznym: dr. Mycielski: „Polska i Francya w 17 i 18 wieku”, dr. Sokołowski: „Historya malarstwa niderlandzkiego”, dr. Tarnowski: „Historya literatury polskiej w ogólnym zarysie” i „O poezyi polskiej między r. 1830 a 1856” i t. d. — Z teatrem zaczyna się sprawa wyjaśniać. Podobno już za dni kilka podpisany zostanie kontrakt między p. Gliksonem a hr. Krzysztofem Mieroszewskim, mocą którego ostatni za 20,000 złr. weźmie entrepryzę teatralną do r. 1893. (W tym czasie bowiem stanie już nowy teatr, a od rady miejskiej zależnem będzie wówczas oddanie przedsiębiorstwa), obecnie chodzi o to, czy namiestnik zgodzi się na objęcie rządów teatralnych przez p. Mieroszewskiego. Powiadają, że tak. Teatr jest u nas złotym interesem, bo, obok różnych przywilejów, dostaje 10,500 złr. subwencyi, (8,000 złr. od sejmu i 2,500 od rządu). O subwencyje na oświatę ludową, na paralelki szkolne — słowem na podniesienie kraju pod względem społecznym i ekonomicznym trzeba się prosić okrutnie, na sztuki i śpiewaczki — pieniąż jest. Kiedyindziej wam napiszę, jak u nas prasa traktuje sprawę teatru. Sprawozdawcom urzędowym i półurzędowym warto się zbliżka przypatrzeć.

Voza.

Lwów. (Kor. „Głosu”). Ostatniego walnego zgromadzenia członków gal. „Kółek rolniczych” w Stanielawowie nie można nazwać bezpłodnem. Po załatwieniu się ze stroną formalną, która zazwyczaj dużo czasu zabiera, odczytano sprawozdanie za rok ubiegły, świadczące, że liczba kółek zwiększyła się o 97, tak, że obecnie jest ich w kraju 583 (23,674 członków). Co do poruszonej sprawy spółek kredytowych systemu Reifeisena uchwalono powzięcie ostatecznej decyzji, odłożyć do czasu wypróbowania ich przez pojedyncze kółka. Za spółkami przemawiał gorąco p. Stefczyk, założyciel pierwszej spółki Reifeisena w Czernichowie. Cyfrowym materyjałem mówca popierał dodatnie strony tego systemu. „Kto tylko bliżej poznał lud, jego potrzeby i niedole, ten musi uznać, że istniejące instytucyje kredytowe nie wystarczają. Lichwa nęka włościan i to nie tylko żydowska; kilkanaście zagonów, kawaleczek łączki, przemienione na pieniądze, dają zawsze duży procent, niemniej jak 20, niekiedy 50”. Po działach spadkowych i emigracyi lichwa jest jedną z ważniejszych przyczyn upadku gospodarstw. W roku 1878 liczba zmian w stanie własności włościańskiej wynosiła 2,100, a w roku 1886 już 34,000, t. j. 16 razy więcej. Dając racjonalnie uorganizowany kredyt, uniemożliwia się lichwiarskie lokowanie pieniędzy, co podnosi lud pod względem etycznym i ekonomicznym. Sprawa zakładania sklepików chrześcijańskich obudziła również wielkie zajęcie. W tej mierze wpłynęło kilka wniosków. Jeden z nich żądał ustanowienia fachowych lustratorów sklepików, drugi ułożenia formularzy ksiąg manipulacyjnych i kasowych, inny znowu gruntownej reorganizacyi istniejących sklepików w myśl nowych przepisów. Osta-

tecznie uchwalono, aby zarząd główny postarał się o źródła, z którychby kółka z korzyścią towary zakupywać mogły. Dr. Herman Lindenwald (kandydat na posła z pow. żywieckiego) nadesłał zarządowi swój elaborat, dotyczący prowadzenia sklepików i jednostajnej w nich rachunkowości.—Namiestnik znowu wyjechał do Wiednia, gdzie ma być w tych dniach podpisana nominacja ks. E. Sanguszki na marszałka kraju i starosty Płazińskiego na dyrektora policji w Krakowie. Krążą tu od dni kilku pogłoski o blizkiem ustąpieniu p. Simonowicza, prezydenta sądu wyższego i bar. Jorkasza, prezesa dyrekcji skarbowej.—Sejm będzie trwał wszystkiego 4 tygodnie i kilka dni obradował t. j. oo 14 października do 18 listopada, w którym to czasie zwołaną zostanie wiedeńska rada państwa. Trudno, doprawdy, przypuścić aby w tak krótkim czasie załatwioną być miała nawet sprawa konwersji długu indemnizacyjnego, o którą rozbija się każda śmielsza akcja ekonomiczna. Budżet kraju na r. 1891, jak wam wiadomo, smutny. Ogółem preliminowano wydatki na r. 1891 (który jest przejściowy czyli budżetowy, a więc posiada ograniczone wpływy podatkowe) 230,235 złr. więcej niż na r. b. dochody o 50,476 złr. więcej —wydatek netto jest tedy o 179,759 złr. wyższy niż na r. 1890. Niedobór cały równa się sumie 4,341,774 złr. co, licząc wydatność centa dodatku do podatku na 104,000 zł. wymagałoby rozpisania dodatku w wysokości 41,3 c. od 1 guldena. Z powodów wyżej zaznaczonych wydatność centa będzie w r. p. mniejszą, jak zwykle w roku przejściowym, wskutek czego wydział krajowy oblicza wydatność centa zaledwie na 94,500 złr., co równa się dodatkowi w wysokości 46 centów od guldena. Żeby nie podwyższać skali dodatku, uchwalił na razie wydział utrzymać dotychczasową normę 86 ct. (to pokryje 3.402,000 złr.) a resztę, t. j. 939,774 złr. pokryć ewentualną pożyczką. Ryzykowno to bardzo eksperyment, który nietylko, że nie rokuje naprawy schorzałego organizmu ekonomicznego, ale raczej przyspieszyć może jego zupełne wycieńczenie. Poszczególne działy budżetowe rwą się, deficyt szkolny dochodzi do 1 milijona, na reformę finansów trzeba będzie znowu zaciągnąć pożyczkę, nie wiedzieć tylko, kto ją udzieli. Prawda, mamy jeszcze Laender i inne żydowskie banki, te się obwołują przy bankructwie kraju!—Na odbytem przed tygodniem zebraniu ruskiego towarzystwa imienia Kaczkowskiego w Tarnopolu uchwalono: biskupa Strosmajera i dep. Antonowicza mianować członkami honorowymi, wezwać wydział centralny, aby przyspieszył wprowadzenie w życie Towarzystwa dla zakupywania ziemi, zmienić statut w tym duchu, aby towarzystwo mogło zakładać filje na Bukowinie, postarać się o wydanie „Historji kościoła ruskiego” i o założenie stowarzyszenia z takimże celem i zadaniami, jakie mają: niemiecki „Schulverein” i czeska „Matice školska”. Na prezesa wydziału centralnego wybrano ponownie p. A. Didyckiego. W sprawie por. Zakrzewskiego w Kulparkowie komunikat wydziału krajowego, podpisany przez marszałka i d-ra Hoszarda zaprzecza stanowczo. Ciekawe „pendant” stanowią korespondenci pism warszawskich z naszego grodu. Chodzi im snadź nie o gruntowne zbadanie prawdy, lecz o chwilowy efekt i dogodzenie pewnym sferom tutejszym. Pomijają to, że wszystkie „kuryjery” były mylnie informowane o tej sprawie, niektórzy korespondenci (jak np. Kur. Codzienny) zmyślili sobie „interview” z wybitnymi osobistościami, które miały im udzielić, rzekomo, pewnych wyjaśnień.—Dr. Rudolf Zuber, lwowianin, znany geolog nabył nowo utworzoną kopalnię ropy w Argentynie (prowincji Jujuj) i założył tam pierwszą polską kolonię robotniczą.—Dr. Zipser, który w swoim czasie oskarżył całą radę miasta Kołomyi o łapownictwo, skazany został na 50 złr. względnie 10 dni aresztu. Wczoraj otwarte zostało w naszym mieście czwarte gimnazjum żeńskie, w obecności namiestnika i władz szkolnych.—Czeta lwowska zapewnia, że p. Bobrzyńskiemu oddał p. namiestnik sprawy szkół przemysłowych, uniwersytetów, szkoły politechnicznej. Możeby p. wiceprezydent zakolał o wydział medyczny przy tutejszym uniwersytecie, bo referat odnośny ugrzązł ponownie. *Lambda.*

P. S. Zmarła w Szczawnicy Michalina z Rudzkich Pietruska, właścicielka dóbr, przeznaczyła swój znaczny majątek na cele dobroczynne, między innymi i na szpital dla włościan, kasy zaliczkowe i stypendya dla synów włościańskich.—W kościołach parafjalnych agitują księża za szkołą wyznaniową.

PRZEGLĄD POLITYCZNY.

Balanżym umarł! Opuścili go uroczyście i ci, co żyli z niego i ci, co z niego w przyszłości żyć zamierzali. Natomiast spadła nań obmura kruków dziennikarskich, które, nie zdążywszy skorzystań na żyjącym, chcą przynaj-

mniej pożywić się przy trupie. Zanurzają one swe dzioby w gnijące jego jelita, z tryumfem wydobywając na światło dzienne ukryte obrzydliwości.

Do około stoi szlachetny naród francuzki i z cierpkim zadowolentem przygląda się żerowi, a żaden głos oburzenia nie przerywa tego ohydneho widowiska.

Bo naród francuzki widzi w tym trupie obraz swój własny, i tą roztoczoną na światło dzienne zgulianę, czuje we własnem łonie.

Licznych i różnorodnych miał balanżym ojców, wszystkich klasy społeczeństwa francuzkiego złożyły się na żywot jego.

Ojcowali mu kolejno: rycerze przemysłu, operujący na niwie dziennikarskiej, Laguerry, La Herisse'y et consortes i siwowłosi senatorowie, jak Naquet, podrabiany hrabia Dillon i autentyczny hrabia Paryża, do chrztu trzymała go letytymistyczna ks. d'Uzès i nieprzejednany hr. de Rochefort—Luçay, nad kołyską jego nucił ludowy śpiewak Paulus, uśmiechali się doń: bonapartystowski br. Mackau i radykalny Clemenceau, minister Freycinet i prezydujący izbie Floquet, a przedstawicielem jego był piękny generał z blond brodą i na karym koniu.

Ten ostatni przyjął był na siebie zasługi wszystkich wielkich czynów — niespełnionych i sromotę wszystkich spełnionych już ukoczoności, drobnych, lecz licznych.

Zaiste tylko oświecony wiek XIX-ty na schyłku swego istnienia mógł wydać takie stronnictwo i na czele jego postawić takiego człowieka, który nawet do występku nie posiadał dość odwagi i inteligencyi. W razie powdzenia zdrady 200,000 franków rocznej pensyi, tytuł księcia przyklepiony do plebejuszowskiego nazwiska, godność marszałka w dodatku, oto szczyt marzeń opatrnościowego męża.

Tymczasem jednak stanowisko ministra i pieniądze klerykałno-żydowskie, przejadane w towarzystwie kobiet wątpliwych obyczajów—taki miały urok dla marsowego syna, że, kiedy 27 stycznia r. b. Francuzja oddawała mu się w ręce, a ci, co go nabyli, zażądali czynu—on stchórzył, uląkł się zbrodni, czy kuli karabinowej i uciekł ze stolicy, dokąd go przemocą siciągnąć musiano.

Teraz dopiero dowiadujemy się, że kilka rewolucyj groziło francuzkiej republice: radykalna, ułożona między Rochefortem, Floquetem i Clemenceau na wypadek wyboru Ferrego na prezydenta i monarchiczna, o której wyżej wspomniano. Pierwszej unikła Francuzja dzięki wyborowi „głupiego” Carnota, drugiej — dzięki tej okoliczności, że ani wdowy po pułkownikach, ani majorowie z table d'hote nie mają talentu do robienia rewolucyj.

Cóż jednak wtedy robili pp. Mermeixy i Albert Wolffy? Oto, albo byli na żołdzie, albo do takowego aspirowali, a teraz napiwne, które dostawali za podawanie strzemięcia generałowi—choć powiększyły równie popłatnem kopaniem takowego. Zaiste ci cyeronowie godni są zupełnie swego Katyliny w czerwonych spodniach!

Lepsze wrażenie robi księżna d'Uzes, która, straciwszy na generała trzy miliony, nie chce publikować jego listów aby nie znęcać się nad powalonym. Lecz znów „Voix du peuple” twierdzi, że ta szlachetność księżnej wypływa ze szczególnego jej do pięknego generała stosunku, na który pono drastyczne światło listy owe rzuciłyby mogły.

Jeden Rochefort, który po zdemaskowaniu przywódców radykalnych udał się do Belgii, aby rozprawić się z niejakim Thibaudin'em, on pono jeden wolny jest od zarzutów pospolitego łotrstwa; takie przynajmniej wystawia mu świadectwo ów, pohnięty przezeń szpada, Thibaudin.

Lecz czas już wielki zapomnieć o upadłym awanturniku, któremu, mamy nadzieję, że po raz ostatni uwagę poświęcamy.

Rozum polityczny okazał, znany zresztą ze swej węgorzewej zwinności i elastycznych przekonań, luminarz stronnictwa narodowo-liberalnego, burmistrz m. Frankfurtu, obecny minister finansów, p. Miquel.

Zrozumiawszy, czego odeń wymagają sfery godne wszelkich względów—wystąpił z nową ustawą podatkową, która okrzyk zgroy wydarła z piersi jego byłych współtowarzysz.

Nowa ustawa jest właściwie wprowadzeniem postępowego podatku od dochodów, przynosi znaczne ulgi drobnym przedsiębiorcom, całem brzemieniem spadając na barki przeróżnych, papierowych i bawelnianych królów.

Jest to pierwszy krok na drodze reform społecznych, przez Wilhelma II zapowiedzianych, a które muszą rychło przejść w dziedzinę czynu, w obec zapowiadanych energicznych wystąpień socyjal-demokratów.

Z dniem 1-ym października kończy się termin praw wyjątkowych. Zapowiada się znaczna ilość pism i wydawnictw w duchu stronnictwa, powstanie mnóstwo stowarzyszeń, rozpoczyna się usiłowania opanowania rad miejskich i prowincjonalnych. Z temi usiłowaniami walczyć rząd niemiecki będzie nie tylko ograniczającymi przepisami, lecz i inicjatywą w sprawach, poprawy losu robotniczego dotyczących.

I katolicy w Liège obradują nad reformami socyjalnymi, niewiele jednak mają oni robotnikom do ofiarowania, a i to nawet wydaje się zbyt ryzykownem Ojcu świętemu, który czuł się w obowiązku hamowania „rewolucyjnych” zapędów kardynała Manninga.

Oryginalnego sposobu chwyciła się partya robotnicza w Belgii w celu wywalczenia powszechnego głosowania. Oto przywódcy rozpisali wybory do nieurzędowego parlamentu, który by dla wyborców był właściwą władzą prawodawczą. Ten parlament zabrał by się do przeprowadzenia na drodze prawodawczej różnych reform w kierunku pragnień czwartego stanu. Oczywiście, że taka instytucja obok właściwej władzy pomyśleć się nie da i ów quasi-parlament musi zostać rozwiązany.

W samym środku Europy wybuchła rewolucya, która jednak nie zagraża bezpieczeństwu naszej części świata.

Widownią rewolucyi była Bellinzona, główne miasto kantonu tessyńskiego. Tamejszy rząd klerykałny tak mało sobie robił z pragnień liberalnej ludności, że aż ta ostatnia uciekła się do gwałtu: Pp. senatorów zamknęła do kozy i sama nowy rząd samozwańczy stworzyła. Podczas rozruchów zginął od wystrzału z rewolweru członek rady, p. Rossi. Rada związkowa nie mogła sioćierpieć takiego naruszenia konstytucyi, wysłała przeto komisarza Känzli'ego z paru batalijonami piechoty i poleceniem: więzionych wypuścić, rząd prowizoryczny rozwiązać, lecz jednocześnie domaganie się liberalów rewizyi konstytucyi uznała za słuszne i poleciła, po przywróceniu porządku, zarządzić w tej sprawie głosowanie.

KRONIKA Powszechna.

— **Życie społeczne.** Komisya, opracowująca kwestyję uregulowania sprawy przesiedlania się włościan, zajmie się również kwestyją poprawienia bytu włościan bezrolnych. Z polecenia komisji zbierają się szczegóły o liczbie włościan bezrolnych w każdej gubernii.—W r. b. jak i w latach poprzednich, do konserwatorjum muzycznego warszawskiego zapisało się prawie trzy razy tyle żydów, co uczniów wszystkich innych wyznań.

— **Rozporządzenia rządowe.** Moneta podziurawiona przyjmowaną będzie w kasach rządowych do d. 13 stycznia 1891 r. bez odliczania wartości brakującej wagi, od tej zaś daty za każdą brakującą dolę srebra strącać się będzie po 2 kop. aż do 13 stycznia 1893, po którym to terminie moneta z dziurami wcale nie będzie przyjmowaną w kasach rządowych.—Ogłoszono przepisy, dotyczące budowy, ustawiania i utrzymywania kotłów parowych.

— **Kronika ekonomiczna.** Wśród właścicieli zakładów fotograficznych w Warszawie poruszono myśl odpoczynku niedzielnego i świątecznego dla pracowników. Na zebraniu 9 właścicieli uchwalono, aby w niedziele i osim świąt w roku retuszerzy i kopiści wolni byli od pracy.—Rzemieślnicy kilku miast powiatowych gub. łomżyńskiej podali prośbę do pana ministerjum skarbu, aby w dni jarmarczne zabroniono rzemieślnikom z sąsiednich miasteczek i wiosek sprzedaż ich wyrobów. Ministerjum odpowiedziało odmownie.—Zarząd górniczy postanowił zastosować w kopalniach węgla w państwie ruskim wszelkie udoskonalenia, jakie będą przedsięwzięte za granicą w celu niedopuszczenia wybuchów. Obok tego naczelnik okręgów górniczych polecono doprowadzić szachty do porządku. — Kolej: wiedeńska i dąbrowska zajęły się zbadaniem kwestyi konkurencyi, wyrządzonej im przez furmanów.

— **Szkoły i oświata.** Istnieje projekt powiększenia kontroli nad prywatnymi zakładami naukowymi. Pomiedzy innymi mają się podobno odbywać w tych szkołach egzaminy w obecności nauczycieli szkół rządowych.—Szkoła weterynaryi w Warszawie obchodziła swój 50-letni jubileusz. — Uniwersytet warszawski w r. z. liczył 1,164 studentów, 10 wolnych słuchaczy i 108 farmaceutów.—W r. b. na wydział prawny uniwersytetu warszawskiego zapisało się mniej słuchaczy, niż lat poprzednich.—Ministerjum oświecenia poleciło usunąć w ogólnych oddziałach klasy siódmej szkół realnych przedmioty (mechanika, chemija i geometryja wykreślna), nie objęte programem zreformowanych szkół realnych.

— **Literatura i sztuka.** W Paryżu wykryto pracownię, w której zajmowano się specjalnie podrabianiem obrazów Courbeta.—Kościółeczki ze swoją trupą udają się na sezon zimowy do Petersburga, gdzie dawać będzie przedstawienia w języku polskim.—Policya w Brunawiku zabroniła przedstawiania na scenie Dumasa Sprawy Clémenceau, jako utworu wielce niemoralnego.—Na omentarzu powązkowskim ustawiono murowany posąg Królikowskiego, wykonany przez Syrewicza.—Wystawę gazet urzędza w grudniu w Brukseli von Reable.

— Rozmaitości. W Rzymie odbędzie się kongres dla rozwiązania kwestyi jednego południka pierwszego i jednokowej rachuby czasu.—W kopalniach węgla we Francji zginęło w 1876—89 r. robotników 916.—W r. z. w Stanach Zjednoczonych od wypadków z elektrycznością zginęło 116 osób.—Prasa niezależna hiszpańska twierdzi że od początku pojawienia się w Hiszpanii cholery, zachorowało na nią 7,000 osób, zmarło 4,000, podczas gdy sfery rządowe podają cyfry 2,500 i 1,500.—W sądownictwie niemieckim służy 118 żydów. W personelu profesorskim uniwersytetu berlińskiego znajduje się 52 żydów, nie licząc ochrzczonych.—P. J. Ochocowiczowi zabronio-

no zajmować się leczeniem, oraz stosowaniem przy tem hypnotyzmu.—Z liczby 372,740 młodych ludzi, powołanych w r. z. do służby wojskowej, było niezdolnych 62,633 czyli 17⁰/₁₀.

Odpowiedzi od Redakcyi i Administracyi.

P. S. w Brzozach. Bellamy wysłany 17 b. m. Propozycję pańską redakcyi „Wisły” — zakomunikowaliśmy.
P. B. w Sok. Bellamy'ego wysłaliśmy 17 b. m.

P. A. Ż. w M. Literacko-naukowym pismem jest „Życie” (cena rocznie rs. 8 z przes.), powieściom, podrómom, poezyi i t. p., poświęcona jest Biblioteka Romanów, specjalnie powieści: Tyg. Romans. i Pow., oraz Romans i Powieść.

SPROSTOWANIE. W Nr. 37 „Głosu” str. 441 szpalta 2-a, wiersz 27 od góry zam. Krieger powinno być Brieger, a wiersz 28 zamiast cholerochoksyną — cholerotoksyną.— Na str. 444 kol. 2 w. 28 od góry zamiast „oligantropija” wydrukowano „filantropija.”

OGŁOSZENIA GŁOSU.

Specyjalny Magazyn Ubiorów Dziecinnych

S. PRZEŹDZIECKIEGO

ulica Hr. Kotzebue Nr. 2, róg Wierzbowej

Dom Hr. Krasieńskiego

Zaopatrzone zostały na obecny sezon w wielki wybór konfekcyi dziecinniej, jak również Mundury, Bluzy i Szynel dla ucni z towarów wyborowych, po cenach umiarkowanych.

Magazyn przyjmuje zamówienia na wykwiintną garderobę Męską oraz Okrycia i Zakłady damskie w fasonach angielskich.

JÓZEF ŚWIĄTKOWSKI

SZEW C DAMSKI I MĘZKI

w Warszawie Bielańska Nr. 9

(Hotel Paryski)



poleca obowie na każdy sezon

PP. studentom i uczniom ustępuje się procent.

KSIĘGARNIA

Teodora Paprockiego i S-ki

w Warszawie

41 Nowy Świat 41

otrzymała na skład główny świeżo wydaną książkę p. t.

USTAWA O BANKU WŁOŚCIAŃSKIM

w zastosowaniu do

KRÓLESTWA POLSKIEGO

z dodaniem uzupełniających związkowych przepisów, instrukcyj i wzorów. Cena kop. 50, z przesyłką poczt. k. 70.

Jestto pierwszy kompletny zbiór przepisów i wskazówek szczegółowych ułatwiających wyjednanie pożyczki w Banku Włociańskim na kupno gruntów w Królestwie. Tekst ustaw podano w językach ruskim i polskim w tłumaczeniu L. Grendyszyńskiego.

Do nabycia we wszystkich księgarniach i agenturach księgarskich w Warszawie i na prowincyi.

Adres: ulica Marszałkowska Nr. 123.

Cena całego dzieła, Cena zeszytu
opłacona z góry 7 rs. 15 kop.

Encyklopedia
Encyklopedia
Encyklopedia
E. H.
Humoru
Humoru
Humoru

Cena tomu opła- Wychodzi mniej więcej
conego z góry 2 rs. w odstępach tygodn.

METODYCZNY KURS NAUK

Obejmujący: naukę religii, naukę o rzeczach, język polski i francuzki, arytmetykę, nauki przyrodnicze, geografję, historyję, kaligrafję i rysunki; wychodzić zaczął w

PRZEGLĄDZIE PEDAGOGICZNYM

Od 1 Października r. b. w „Kursie” tym podany jest plan całej nauki przątkowej, najlepsze podręczniki do każdego z przedmiotów i wskazówki, czego i jak leczyć należy. „Przegląd Pedagogiczny” zamieszcza artykuły o higienie, wychowaniu, metodach nauczania, postępkach pedagogiki zagranicą, grach i zajęciach dzieci etc. Udziela czytelnikom porady we wszelkich kwestyjach wychowawczych. Pośredniczy między rodzicami i nauczycielami przez bezpłatne zamieszczanie żądań.

Prenumerata „Przeglądu Pedagogicznego”: kwartalnie rs. 1 kop. 50, z przesyłką rs. 1 kop. 75.

Adres Redakcyi: Warszawa, Widok, 14.

Wyszły z druku i są do nabycia we wszystkich księgarniach

KÓŁKA ROLNICZE

W GALICYI

przez

Jadwigę z Szczawińskich Dawidową

(odbitka z Głosu)

Cena 15 kop.

We wszystkich księgarniach i w redakcyi „Głosu” jest do nabycia książka dla ludu p. t.

O SUCHOTACH CZYLI GRUŻLICY

jak się tej choroby wystrzegać

napisał

Sewer Ster, lekarz.

Cena 2¹/₂ kop. (pięć groszy).

MAGAZYN FUTER
JAKÓBA PAWEŁEK

w Warszawie, ul. Czysta Nr. 6,

ma zaszczyt powiadomić Szanowną Publiczność i Łaskawą Klientelę, iż interes swój, prowadzony od lat kilku przy tejże ulicy, na obecny sezon zaopatrzył w znaczny wybór **Mufek, Kołnierzy, Czapek męzkich i damskich, Obłóżeń** i t. p. Poleca **JAKO SPECYALNOŚĆ, Rotundy i Wierzehy** do futer dla Pań i Panów, wykonywane podług ostatnich żrnnali Angielskich, Francuzkich i Wiedeńskich.

Ostrzeżenie. Ogłoszony oryginalny „Exsiccator” jest wtenczas prawdziwym, jak posiada przez Rządy wielu Państw Europejskich zatwierdzoną markę fabryczną.

ZATWIERDZONY PRZEZ RZĄD
EXSICCATOR
Osusza wilgoć, zabezpiecza od gnicia i grzybka, zastępuje farby. Broszurki bezpłatnie. — Inż. G. Ritter.
39 Królewska 39
POSZUKUJE AGENTÓW

Medal Warszawa 1885. Medal Warszawa 1886. Herb Państwa Austryjackiego. Medal Kraków 1887. Dyplom Honorowy Symferopol 1888 i 1000-cc świadectw za skuteczność otrzymano. Ważny dodatek do broszurki II wydanie z ilustracyjami bezpłatnie (franco). Uwaga. Wynalazku mego nie należy porównywać z reklamowanymi w ostatnich czasach goudronitami i Carboli-neum gdyż takowe niszczą więcej drzewo i mury niżeli konserwują, o czem dowody w broszurkach umieszczono.

Odbitki dwóch kwestyjonaryjuszy do zbierania wiadomości o oświacie ludowej

pod tytułem

CO I JAK LUD NASZ CZYTA?

M. BRZEZIŃSKIEGO.

W SPRAWIE

CZYTELNICTWA LUDOWEGO

ANTONIEGO POTOCKIEGO

Zygmunta Wasilewskiego.